Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 21 (1757) 24–30 maja 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Zbigniew męczennik, chorobą uświęcony

str. 4

Odkrzyżowanie na niby

str. 3

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223409 21

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 4496020dae

WOJNA DOMOWA

No i nie mamy „Lex Kaczyński", które byłoby proporcjonalnym odwetem za „Lex Tusk". Wobec obstrukcji marszałka Hołowni premier postanowił powołać sobie własną komisję do zbadania ruskich i białoruskich wpływów. Na jej czele stoi szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego gen. Jarosław Stróżyk, a w skład wejdą ludzie wskazani przez premiera, a także przez kilku jego ministrów – co oczywiście gwarantuje komisji pełną niezależność i całkowity obiektywizm. W razie, gdyby któryś z członków komisji nie wiedział, co ma robić, premier poszedł do TVN i wyjaśnił: „Wszyscy znacie tę skalę" (infiltracji PiS przez Rosję), „tylko w sposób dla mnie zupełnie zrozumiały, chociaż trudny do zaakceptowania, od lat wypieramy tę świadomość", a tymczasem jest „cały rejestr osób, które pojawiły się w polskiej polityce, których patronem był albo Macierewicz, albo Dworczyk, albo cała warstwa rządząca ze strony PiS-u". Jasne? Jasne.

Premier zapewnia przy tym uspokajająco, że jego pracująca „dyskrecjonalnie" komisja nie ma nic wspólnego z maccartyzmem i generalnie chodzi tylko o bezpieczeństwo. Poczuliśmy się uspokojeni, aż do sejmowego wystąpienia wicepremiera i ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza „w sprawie stanu bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej": „Będziemy walczyć ze wszystkimi zdrajcami narodu i państwa polskiego, którzy wybrali inną drogę niż służba ojczyźnie. Państwo polskie jest silne wobec tych, którzy zagrażają jego bezpieczeństwu, wobec tych, którzy je zdradzają. Nie ma miejsca na litość i nie ma jakiekolwiek taryfy ulgowej dla tych, którzy wybrali drogę na wschód. Będziemy tego dochodzić z całą stanowczością. Będziemy używać wszystkich instrumentów i państwo polskie nie spocznie, dopóki nie wykona nakazu aresztowania wobec osób, które zdradziły naszą ojczyznę". Władza odrąbie im rękę, a śląska woda pogruchocze kości.

Na tym się wszakże osiągnięcia szefa rządu w tym tygodniu nie kończą. Tusk obiecał też wydać 10 dużych baniek na zasieki na wschodniej granicy. „Tarcza Wschód to będą i fortyfikacje, i schrony, i infrastruktura, która przywróci też poczucie bezpieczeństwa i normalności ludziom tam mieszkającym" – wyjaśnił Donald Tusk, a my sobie myślimy, że ludzie, którzy czerpią poczucie normalności z widoku bunkrów, nie są tak do końca normalni. Ciekawą wiadomość na temat „Tarczy Wschód" podał min. Kosiniak-Kamysz: „Będzie to rządowy program na mocy uchwały Rady Ministrów o narodowym programie obrony i odstraszania na lata 2024–2028". Może jednak wydanie 10 miliardów złotych powinno odbywać się na mocy ustawy sejmowej?

71-letni pisarz Juraj Cintula usiłował zastrzelić premiera Słowacji. Robert Fico, ciężko ranny, przeszedł kilka operacji, ale wygląda na to, że przeżyje. Polski komentariat nie jest pewny, co o tym myśleć. Zaraz po zamachu mogliśmy usłyszeć, że Słowacy to taki dość niedojrzały naród, który jest podatny na rosyjską propagandę i dlatego wybrał Fico. Współczucie wobec ofiary zamachu nie było zbyt nasilone, zwłaszcza że ktoś gdzieś wypatrzył, iż trzy tygodnie wcześniej, podczas protestu przy okazji wizyty Fico w miejscowości Wolna Krupa, Cintula wykrzykiwał proukraińskie hasła. Szczęśliwie chwilę później „do sieci wyciekło" nagranie, na którym Cintula przemawia na wiecu paramilitarnej organizacji Słowaccy Rekruci, której szefa Petera Svrceka ponoć szkolił specnaz. Komentatorzy odetchnęli z ulgą. Dlaczego Rosja miałaby zlecać zabójstwo jedynego szefa rządu UE, który nie prezentuje żarliwie antyrosyjskich poglądów i mimo tego nie jest izolowany jak Orbán – mędrcy nie wyjaśnili.

Dla odmiany prezydent Iranu nie przeżył katastrofy śmigłowca, który rozbił się przy granicy z Azerbejdżanem. Poza Ebrahimem Raisim zginął także szef MSZ i lokalny gubernator. „Jestem głęboko poruszony wiadomością o tragicznej śmierci Prezydenta Iranu (…) Niewiele narodów ma w swojej historii takie tragiczne karty. Ale my, Polacy, straszliwie doświadczeni w 2010 roku katastrofą polskiego rządowego samolotu w Smoleńsku w Rosji, znamy uczucie szoku i pustki, jakie w ludzkich sercach i w państwie pozostaje po nagłej utracie elity politycznej i społecznej, po nagłej utracie bliskich i przyjaciół. Dlatego ze szczególnym zrozumieniem łączymy się z bliskimi ofiar i narodem irańskim w modlitwie i żalu" – zaszlochał na platformie X prezydent Duda. Pomijając już kwestię tego, gdzie ekstremiści islamscy mają jego katolickie modlitwy: prezydent Iranu zginął w gęstej mgle, lecąc amerykańskim helikopterem. Może Pan Prezydent zapytałby ministra Macierewicza, jakie wnioski należy z tego wyciągnąć.

Kampania do europarlamentu sobie trwa, ale mało kogo, poza kandydatami, obchodzi i my też śledzimy ją z nieszczególną uwagą. W tym tygodniu rzucił nam się w oczy Marek Belka, który kandyduje, choć nie musi, z Łodzi, w której pewnie nie będzie mandatu dla lewicy, toteż i kampanię prowadzi dość nonszalancko. „Liderzy lewicy prowadzili politykę bardzo zgodną z interesami kraju, ale nie za bardzo zgodną z takimi wąsko pojętymi interesami partyjnymi" – ocenił eseldowskie rządy, w tym swój. Tłumaczymy: pan profesor chciał powiedzieć, że SLD był formacją niepopulistyczną i dlatego już się nie liczy. Jest to niejakie pocieszenie.

AWŁ

Z URNY URBANA

Dawno nie przypominaliśmy Urbana piszącego o sobie. Więc przypominamy. Felieton z lutego 2016 r.

Bestia

Śniło mi się, że jestem narodem, więc piję w barze, obejmując telewizję. To bar hotelowy. Za szybą trwa wesele, Kaczyński żeni się z Szydło, ale gdy goście krzyczą: „Słodko! słodko!", prezes całuje się z Dudą. Potem nie jestem już narodem narodowym, tylko sobą. W domu mam wiele luster i w każdym widzę małego człowieka, ale wielkiego skurwysyna. Nie jestem w tym oglądzie odosobniony.

Goście weselni Kaczyńskiego istnieją na jawie, i to oni rozwieszają u mnie te lustra. Należę do bestii, ponieważ nie jestem katolikiem ani polskim patriotą. Co więcej, w moich żyłach i tętnicach nie płynie krew szlachty, a tę mniejszość właścicieli niewolników potomkowie chłopów pańszczyźnianych uważają za swoich ideowych protoplastów. Nie mam też ani jednego akowskiego genu. A moi rodzice, zwykli żydowscy burżuje, bali się żołnierzy wyklętych jak zarazy, zamiast im wręczać pęki białych róż.

Ostatnio czytałem pracę dyplomową o sobie studentki dziennikarstwa. Dziwi się autorka, że jako uczeń byłem pilnym stalinowcem, a jako student na odwrót. Uznaje to za indywidualną skazę psychiczną. Nie zna bowiem historii PRL, więc nie wie, że była to zbiorowa zmiana postawy znacznej części moich politycznie czynnych rówieśników. Dla niej PRL to jednolita czarna dziura, zbrodniczy reżim okupacyjny. Ona nie wie, że pod naciskiem społecznym władze Polski Ludowej zawsze reagowały dobrą zmianą na swoje zbrodnie, np. w 1956 r. i w 1970 r. PiS tę ciemnotę umocni polityką historyczną.

Mając swoje śmierdzące gęby pełne narodu, pisowcy odsuwają od wspólnoty większość społeczeństwa w znacznym stopniu także zaczadzoną nacjonalizmem, ale nieakceptującą polityki Kaczyńskiego.

Prezes czy to z braku wyobraźni, czy z powodu emeryckiego wieku nie przewiduje, że jeśli daleko się posunie w tworzeniu państwa partyjnego i narzucaniu szowinizmu, reakcja na to może być dla PiS straszna.

Jeżeli PiS długo będzie rządzić, właściwe mu procedury i antykultura polityczna utrwalą się. Po utracie władzy to poplecznicy PiS zostaną gorszym sortem i wyrzucani będą z pracy, a jakiś antyKania napisze książkę „Kaczystowskie dzieci". Ufam, że jednak nie dojdzie do takich ekscesów jak wywlekanie z Wawelu sarkofagu brata i bratowej prezesa ani burzenia muzeum ku czci zbrodniczego powstania warszawskiego, ani nawet wieszania ojca Rydzyka za jaja.

Społeczeństwo jakoś zniesie zamknięcie granic Polski, rozwalanie Unii Europejskiej, która przestanie dawać się Polsce doić. Jeżeli kaczyści postawią jednak mur berliński na Odrze i Nysie, poddani rządzącej teraz kliki mogą się zdenerwować.

Ktokolwiek i jakkolwiek w Polsce rządzi, jestem w niej najbardziej ze wszystkich wolnym nie-nieboszczykiem. Niczego od nikogo nie chcę i dobrowolnie niczego nie daję. Jestem pieniężnie niezależny od nikogo i samowystarczalny.

Na PiS swobodnie pluję, wiedząc, że gdyby się odwinęło, to się ośmieszy. Kościół mam w dupie. Nie niewoli mnie wiara w Boga, Honor i Ojczyznę. Jestem wbrew chęci poddanym polszczyzny, ale Polski to już nie. Nawet jednak moja polszczyzna różni się od języka kaczystów. Mniej w niej przymiotników, powtórzeń i wyrażania samozachwytu. Uważam się za chuja, ale nie przypuszczam, że jestem największym i nie mam się za wyjątek. Hoduję wielkie uszy, żeby wszystko widzieć. Staram się łamać 9 na 10 przykazań, bo owszem, stosuję „nie zabijaj", ale wyjątek stanowią komary. Co Bóg mówił Mojżeszowi w tej sprawie?

Gdyby tubylcy o 60 lat młodsi ode mnie byli bogaci i wolni jak ja, nawet Szwajcarzy przybywaliby tu jako uchodźcy. Właściciele polskich paszportów czuliby się zaś obywatelami ludzkości i Europy. A więc i bestia może być pożądanym wzorem. Cieszę się, patrząc w lustro.

Piszę o sobie, bowiem w TVN 24 Piasecki dyskutował z Petru, czy Kurski z TVP jest groszy sukinsyn niż Urban. Nie wiem, jak można nieprzeciętnego nawet drania porównywać ze mną, człowiekiem, że do rany przyłóż, a wywoła gangrenę.

URBAN

TRYBUNA LUDZI

Co mamy postawić na wschodniej granicy, żeby ich odstraszyć?

Facebook

Anna Maria Pantera: Kempę.

Beata Staszak: Przejścia graniczne, słupy z tablicami informującymi, że wchodzą na teren Rosji. To ich tak skołuje, że zawrócą.

Bartek Orzeł: Cokolwiek by tam było, musi działać tak, by pisowcy mogli spieprzać w tamtą stronę.

Andrzej Żmuda: Pokażmy im rachunki za prąd i ogrzewanie.

Olga Jastrzębska: Krystynę Pawłowicz prezentującą swój naturalny wdzięk.

Kr Rut: Rozstawić skrzynki z gorzałką i regularnie uzupełniać, a do tego pralki, lodówki, telewizory, żeby mieli z czym do domu wracać.

Joanna Gremblewska: Posadzić konopie. To ich zatrzyma na dłużej.

Kamil Stavi Stawiński: Martyniuka.

Ewelina Kupczyk: Jezuska ze Świebodzina.

Anna Maria Pantera: Wzdłuż granicy WOT-y z różańcami.

Michał Abramowicz: Polski Ład.

Karol Zetem: Nagiego Czarnka.

Marcin Grochala: Postawić wzdłuż granicy jakieś atrakcje turystyczne i dać wszędzie „zakaz parkowania". Za chwilę będzie tak zastawione autami, że nikt się nie przedrze.

Taki Michau: Zasadzić pokrzywy wzdłuż muru to ich na pewno powstrzyma i odstraszy.

Michał Kwiatkowski: Ołtarze bojowe ze szczątkami Boboli.

Remek Dąbrowski: Palety z alejek Biedronki.

Forum

Tusek123: Pokrzywy, patyki z kupą, a na dokładkę barszcz Sosnowskiego.

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Andrzej Duda** podkreślił, że istnienie Telewizji Republika jest ważne dla bezpieczeństwa państwa. Pierwsze testy szturmu modlitewnego przeprowadzone na Ziobrze wypadły pomyślnie.
- **Jarosław Kaczyński** zauważył, że opcja europejska chce zniszczyć religię i zrobić z ludzi zwierzęta. Zwierzęta-obojnaki takie jak dżdżownice, ropuchy i glisty.
- W Warszawie ktoś ukradł pradawną **maszynę do nabijania rurek z kremem**. Każdy podejrzany niech pochyli się do przodu i kaszlnie.
- Polska znów zdobyła tytuł **najbardziej homofobicznego kraju w Europie.** Nic dziwnego, patrząc na komentarz wyżej.
- Po miesiącu na koncie zbiórki **Samuela Pereiry** na nowy medialny projekt jest nieco ponad 3000 złotych. Z kolei osioł Stefan zebrał już 4250.
- **Ponad 500 aptek** zgłosiło się do pilotażowej sprzedaży pigułek dzień po. Przypominamy, w całym kraju przewidywane są burze z piorunami i gradobicia.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 4496020dae

Rys. OBYWATEL JANEK

Odkrzyżowanie na niby

Rafał Trzaskowski mimo woli został bohaterem walki o świeckie państwo.

7 maja prezydent stolicy podpisał 19 zarządzeń. 8 maja – tylko jedno, ale z 30-stronicowym załącznikiem. 9 maja, podpis Trzaskowskiego znalazł się na dziewięciu zarządzeniach. Przeciętnie, każdego dnia pracy prezydent Warszawy musi się skrobnąć pod kilkoma, kilkunastoma zarządzeniami.

Gdyby miał je wszystkie czytać, tak jak nakazuje zdrowy rozsądek, to nie miałby czasu na robienie czegokolwiek innego. Dlatego tak on, jak i inni podpisujący się pod decyzjami ludzie, wymyślili hierarchię biurokratyczną i procedury związane z tworzeniem dokumentów. Dzięki temu ten, kto coś podpisuje, może być pewien, że kwit jest sprawdzony prawniczo, merytorycznie i nawet językowo, zaś jedyne czego w nim brakuje, to autograf decydenta.

Krzyżowy ogień pytań

8 maja Trzaskowski postawił więc swoją sygnaturkę pod czymś, co było bełkotem korporacyjnym, ale nazywało się ładnie i bezpiecznie zarządzeniem „w sprawie wprowadzenia Standardów równego traktowania w Urzędzie m.st. Warszawy". I było o tym, jak urzędnik powinien traktować petenta. Zarządzenie ukazało się w Biuletynie Informacji Publicznej i tydzień leżało tam sobie niezauważone. Do dnia, w którym „Wyborcza" ogłosiła, że Trzaskowski jest bohaterem walki o świeckie państwo, zaś Warszawa będzie pierwszym w Polsce miastem bez krzyży w urzędach.

Najbardziej zaskoczony takim obrotem rzeczy był oczywiście prezydent stolicy. Szybko sprawdził, co podpisał, bo zaczęli do niego wydzwaniać pismacy i kumple z polityki. Skoro mleko się rozlało, to Trzaskowskiemu nie pozostało nic innego, jak udawać, że wie, co robi.

W zarządzeniu był zaś standard czwarty, mówiący o tym, że „przestrzenie urzędu są miejscami neutralnymi religijnie" i opatrzony paroma zdaniami wytycznych. Jedne stanowiły, że „w budynkach urzędu dostępnych dla osób z zewnątrz oraz podczas wydarzeń organizowanych przez urząd nie eksponuje się w przestrzeni (np. na ścianach, na biurkach) żadnych symboli związanych z określoną religią czy wyznaniem. Nie dotyczy to symboli religijnych noszonych przez osoby pracujące w urzędzie na użytek osobisty, np. w formie medalika, tatuażu, opaski na ręku". Drugie dotyczyły tego, że „wydarzenia organizowane przez urząd mają charakter świecki, tzn. nie zawierają elementów religijnych, np. modlitwy, nabożeństwa, święcenia".

Trzaskowski przeczytał to raz i drugi, i za cholerę nie mógł zrozumieć, dlaczego zrobił się taki szum. Przecież od paru lat łazi po warszawskich urzędach i na żaden krzyż nigdy się nie natknął. Sądził więc, że pisanie, iż dopiero teraz Warszawa będzie wolna od krzyży, jest medialnym nadużyciem, bo już wcześniej ich nigdzie nie było.

Z wyjątkiem głupiego przypadku Urzędu Stanu Cywilnego na Białołęce, gdzie pięć lat temu niewielki krzyż wisiał sobie nad drzwiami sali ślubów. „Urzędy stanu cywilnego są neutralne religijnie, więc nie powinny w nich wisieć krzyże" – stwierdziła wtedy warszawska radna Agata Diduszko-Zyglewska i zwróciła się do Trzaskowskiego ze stosowną interpelacją. Nim prezydent odpowiedział, krzyża już na Białołęce nie było. A wisiał sobie nie z powodu demonstracji religijnej, ale dlatego, że kiedyś jakaś para zażyczyła sobie krzyża, więc dla świętego spokoju go im powieszono, a potem siłą inercji tkwił tam, bo nikt nie zwracał na niego uwagi. Gdy zwrócono, krzyż wrócił do właściwego dlań miejsca w składziku. Dokładnie ten sam problem z życzeniami klientów mają też podległe Trzaskowskiemu cmentarze komunalne. Jak wynajmują komuś salę pogrzebową z krzyżem, to ten przynosi się z zaplecza, gdzie po uroczystości wraca. O ile ktoś o tym nie zapomni.

Mszalna tęcza

Usuwanie krzyży, których nie było, rozjuszyło niektóre środowiska. „Decyzja warszawskiego urzędu miasta prowadząca do wyeliminowania symboli religijnych w urzędach i biurach miejskich budzi zdziwienie i smutek" – napisał w oświadczeniu rzecznik prasowy arcybiskupa metropolity warszawskiego i archidiecezji warszawskiej. Michał Dworczyk z PiS zarzucił zaś Trzaskowskiemu złamanie artykułu 53. Konstytucji zapewniającego wolność wyznawania religii.

Zaskoczony sytuacją prezydent Warszawy opowiadał więc z jednej strony, że Polska jest państwem świeckim, więc w miejscach takich jak urzędy nie powinno być symboli religijnych. Ale z drugiej rura zaczynała mu mięknąć. „Organizujemy poza urzędem bardzo dużo wydarzeń, które mają charakter tradycyjny. Chociażby podczas obchodów rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, którym tradycyjnie towarzyszy msza święta. Często organizujemy modlitwy ekumeniczne przy wydarzeniach historycznych. Nikt nie będzie tego zmieniał, to szacunek dla tradycji i próśb samych powstańców" – ględził, kwestionując to, co chwilę temu podpisał. To dowód na to, że bohaterem walki o świeckość państwa Trzaskowski został przypadkowo.

Gdyby bowiem z pełną premedytacją podchodził do kwestii neutralności, postąpiłby tak samo, jak w lutym 2019 r. gdy podpisał się pod warszawską „Kartą LGBT+". Kwitem mającym 12 rozdmuchanych punktów mówiących o tym, co stolica zamierza zrobić, aby nieheterykom żyło się milej. Większość zapisów była bełkotem o przyjaźni i współpracy wzajemnej, opartej o dialog, równość, zrozumienie i wartości. Konkretów było niewiele. Miał powstać etat specjalnego pełnomocnika w ratuszu, hostel dla bezdomnych osób LGBT, edukacja seksualna i pomoc dla osób płciowo i seksualnie nienormatywnych w szkołach. Oraz oczywiście sprawa najistotniejsza dla każdego geja, lesbijki i osoby transpłciowej, w tym osoby niebinarnej: patronat Trzaskowskiego nad Paradą Równości.

Prezydent stolicy miał wtedy homoseksualnego zastępcę w osobie Pawła Rabieja, większość w Radzie Miasta oraz w cholerę pustostanów, miliardów złotych i urzędników. Gdyby zatem ogłosił konkurs na remont lokali z przeznaczeniem na schronisko dla wyrzucanych z domów osób LGBT, to nawet Konfederacji byłoby niezręcznie się do tego przyczepić. Jakby obwieścił, że będzie patronował Paradom Równości, też by to nikogo nie zdziwiło. Tak samo jak rozpisanie konkursu dla organizacji pozarządowych na prowadzenie edukacji seksualnej w szkołach. Nie mówiąc już o tym, że mógłby dyrektorom szkół wydać polecenie, żeby każdy psycholog szkolny, w ramach swoich obowiązków, zajął się uczniami mającymi w związku z orientacją seksualną problemy ze swoją tożsamością lub otoczeniem. Gdyby zaś Rabiejowi nakazał bycie pełnomocnikiem środowisk LGBT, to dla każdego byłoby to bardziej niż naturalne.

Zamiast jednak zrobić dla nieheteryków coś konkretnego, Trzaskowski wolał rozegrać sprawę propagandowo i pomachać podpisanymi przez siebie kartkami. Ale co się wtedy nagadał do mikrofonów, miało mu zaowocować w kampanii prezydenckiej. Z tym, że mówiąc o LGBT+ wiedział, co mówi. Teraz – odpierając ataki za świeckość – jest wyraźnie nieprzygotowany. A może dotarło do niego i to, że zarządzenie, które podpisał, jest nieszczególnie zgodne z prawem?

Tylko pod tym znakiem

Wszak prawnicy na długo przed powstaniem neo-KRS wykoncypowali, iż co prawda ustawa zasadnicza zobowiązuje władze publiczne do zachowania bezstronności w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, zapewniając swobodę ich wyrażania w życiu publicznym, ale...

Konstytucja nie zmusza osób pełniących funkcje w organach władzy publicznej do ukrywania swoich przekonań religijnych. Tak to ujęła przedpisowska, czyli nader wolna i niezawisła sądowa praktyka orzecznicza w sprawie wieszania krzyża.

W 1997 r. krzyż został zawieszony w sejmie przez posłów AWS. W 2012 r. posłowie Twojego Ruchu złożyli przeciwko temu krzyżowi pozew, twierdząc, że godzi on w ich dobro osobiste, jakim jest wolność religijna. Peowsko-peeselowska większość sejmowa przed sądem krzyża broniła, twierdząc, że nie narusza on dóbr osobistych i nie może być „źródłem krzywdy". Sąd Okręgowy oddalił wniosek. Posłowie Twojego Ruchu poszli do Sądu Apelacyjnego, argumentując, że poprzedni sąd nie uwzględnił w wyroku norm polskiej konstytucji oraz europejskich standardów wolności i sumienia. Apelacja ponownie orzekła, że krzyż może w izbie wisieć, bo mieści się to w zakresie prawa do publicznego demonstrowania wyznania religijnego. Krzyż – uzasadnił sąd – „jest symbolem religijnym, ale nie można pomijać jego znaczenia jako symbolu kultury i tożsamości narodowej".

W sejmie krzyż może więc wisieć – ale czy umieszczenie go w pomieszczeniach urzędu miejskiego jest naruszeniem art. 25 ust. 2 Konstytucji RP, stwierdzającego, że władze publiczne powinny być bezstronne?

Kilkanaście lat temu do sądu poszedł też pan ze Świnoujścia, bo uznał, że krzyż „uniemożliwia mu, by w sposób neutralny mógł brać udział w obradach Rady Miejskiej", gdzie „decyzje są podejmowane pod religijną presją". Ówczesny prezydent Świnoujścia Janusz Żmurkiewicz, człowiek lewicy, ale – jak podkreślał – także katolik, od początku odmawiał usunięcia krzyży.

Obywatel chciał usunięcia symbolu ze wszystkich pomieszczeń urzędu miasta, z gabinetem prezydenta włącznie, powołując się na wyrok europejskiego trybunału, który zakazał wieszania krzyży we włoskich szkołach. Sąd okręgowy oddalił powództwo. Wyszedł z założenia, że skoro nauczanie religii w szkole publicznej nie jest aktem bezprawnym, to tym bardziej takim aktem nie będzie umieszczenie symbolu krzyża w budynku urzędu gminy. „Osoba dojrzała, aktywna życiowo i społecznie, o ukształtowanym światopoglądzie nie może więc twierdzić, iż sama symbolika krzyża chrześcijańskiego w przestrzeni publicznej narusza jego godność, pozbawia go możliwości poszukiwania swoich dróg życiowych czy powoduje ograniczenia prowadzące do odczucia wykluczenia ze społeczności lokalnej".

Przypomnę, że to nie był wyrok sądu biskupiego, ale takiego, który wyrokuje w imieniu Rzeczpospolitej Polskiej. Dlatego kolejny fragment uzasadnienia, stanowiący wzorzec dla innych sędziów, też jest istotny. A sędzia napisał, że wywieszenie krzyży w świnoujskim urzędzie nie było wynikiem wydania jakiegokolwiek aktu rangi prawa miejscowego, ale „był to akt pewnej afirmacji religijnej osób umieszczających ten symbol, być może także akt odreagowania na koncepcję państwa bezwyznaniowego lansowanego w sposób bardzo aktywny przez władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej".

Jeśli więc Trzaskowski zapoznał się z tym, to nic dziwnego, że wie, że na sali sądowej będzie miał przechlapane. Prędko więc zapewnił, że w kwestii warszawskich krzyży „nikt nie zamierza prowadzić żadnej krucjaty ani postępować w sposób dogmatyczny". No i dodał, że zarządzenie nie obejmuje należących do miasta szpitali, szkół czy ośrodków pomocy społecznej. Co znaczyłoby, że świecka rewolucja Trzaskowskiego sprowadzi się do tego, że krzyży nie będzie tam, gdzie ich nie było. Zaś tam, gdzie wiszą – wisieć będą.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz jest, jak wiadomo, dobrym katolikiem oraz wzorowym mężem i ojcem. Ma brodę, dwie żony (nie razem, tylko jedna po drugiej) i, jak głoszą bulwarowe media, dwie córki. Martwi się o nie, że nie będą mogły chodzić do szkoły na lekcje religii, „ponieważ minister edukacji narodowej Barbara Nowacka uważa, że w szkole w ogóle nie powinno być lekcji religii". „Nie ma mowy o likwidacji lekcji religii w szkole!" – powtarza stanowczo Kosiniak-Kamysz – bo religia „jest zapisana w konkordacie".

Tego, że religia w szkole nie jest zapisana w konstytucji, Kosiniak nie mówi. Ani tego, co zwykł mówić o aborcji: żeby „obywatele wypowiedzieli się w referendum; to jest najwyższa władza – władza obywateli".

Jeśli sam wicepremier Kosiniak-Kamysz ustalił, że nie jest on najwyższą władzą, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby tego, co mówi o religii w szkole, nie brać do siebie. Niech bierze któraś z jego żon albo nawet obie.

eprasa.pl 4496020dae

Zbigniew męczennik, chorobą uświęcony

Dlaczego Ziobrze nie „życzę zdrowia”

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

ETYKA BEZBOŻNA

Po dłuższych rozważaniach, czy Zbigniew Ziobro jest chory, generalnie uznaliśmy, że jest. Na takiego bowiem wygląda, a w tych sprawach pozory (czyli właśnie wygląd) raczej nie mylą. Dziś natomiast dowiadujemy się, że mu się pogorszyło, a to w wyniku brutalnych przeszukań jego nieruchomości. Że niby tak się zdenerwował. Koledzy Ziobry rzucają takie oszczerstwa, bo po prostu nie wiedzą, że to podłość. Nie wychowano ich, to i nie wiedzą. Niewiele zresztą wskórają, bo publika raczej pamięta, że akurat dla Ziobry wjazdy z futrynami o szóstej rano to taka nowa fajna etykieta, przeto żadne tam „miękiszonowe” przeszukania nie mogą na nim robić większego wrażenia. Jeśli jego stan się pogorszył, to z powodu postępu choroby, a nie stresu poprzeszukaniowego. Zapewne jednak faktycznie z Ziobrą jest źle. A skoro tak, to rodzi się pytanie, czy ewentualna śmiertelna choroba daje mu immunitet i jak daleko ten immunitet sięga. Czy „wypada” ciągać chorego na przesłuchania i w ogóle o cokolwiek oskarżać? Czy może trzeba uczynić wszystko, aby żadne stresy nie utrudniały mu leczenia, a tym samym należy dać mu spokój? A może to Pan Bóg teraz wziął sprawy w swoje ręce, a człowiek powinien się w pokorze cofnąć przed tą bożą interwencją?

Z góry odpowiem, że nie ma rady – jeśli choroba jest śmiertelna, chory ma spokój od prokuratora. A jeśli choroba jest przewlekła, a chory jest chodzący, to sprawa przeciw niemu się toczy normalnym trybem, łącznie z przesłuchaniami. Nie zmienia to faktu, że choroba pomaga złoczyńcy i jego sytuację procesową bardzo poprawia. Nikt bowiem nie chce uchodzić za dręczyciela kogoś, kto ciężko choruje. Odpowiedź jest więc raczej prosta, lecz warto wiedzieć, jak doszło do tego, że chory, nawet będący jawnym i notorycznym złoczyńcą, ma przed obliczem prawa takie fory. A sprawa ma długą i krętą historię.

Zacznijmy od epoki żelaza albo i miedzi. Otóż choroba to była rzecz święta, a co najmniej niepewna. Jak się choremu narazisz, to może się zarazisz? W końcu jakiś zły duch w niego musiał wleźć, a jak się ten duch zdenerwuje, to może na mnie przeskoczy? Lepiej więc trzymać się od chorych na dystans i nie wchodzić im w drogę. Tak ludzie myśleli w słusznie minionych czasach plemiennych. W średniowieczu (również minionym, choć jakby nie wszędzie i nie do końca), stosunek do chorych z czasem zmienił się z lękliwego na litościwy. Choremu trzeba współczuć i otaczać opieką. Musimy przyznać chrześcijaństwu, że przyczyniło się do upowszechnienia się tego podejścia, jakkolwiek znane było już wcześniej i nie tylko w naszej części świata.

Ostatnio jednak z chorymi zrobiło się jeszcze inaczej. Współczuć już nie można, bo w naszej godnościowej moralności współczucie pachnie protekcjonalnością i wyższością (mianowicie współczującego nad „współczutym”). Dlatego osoby chore już nie „zasługują na współczucie”, ale „mają prawo do wsparcia”. A jako że wszyscy jesteśmy równi, zaś „zdrowie jest najważniejsze”, to w rezultacie wychodzi na to, że ten sam opiekuńczo-solidarnościowy stosunek należy mieć do każdego chorego, niezależnie od tego, kim jest jako człowiek. Tak samo jak lekarz, który powinien z równym zaangażowaniem leczyć papieża i pedofila, również zwykły, nielekarski żuczek musi „zdrowia życzyć” każdemu, kto choruje, nawet swemu wrogowi.

Zdrowie jest ponad wszystko, więc gdy kto chory, to wszystko inne idzie w kąt. Na przykład przestępstwa. Nie wypada zajmować się takimi drobiazgami, jak nadużycia władzy, represje i złodziejstwo, w obliczu tragedii choroby. Żądania sprawiedliwości są niczym wobec nakazu, by choremu życzyć zdrowia. Jest to dziś tak silne tabu, że doprawdy trudno znaleźć kogokolwiek, kto w sytuacjach publicznych wypowiedzi o chorującym złoczyńcy nie zaczynał od życzeń rychłego powrotu do zdrowia.

Ja daruję sobie życzenia zdrowia dla Zbigniewa Ziobry, a on z pewnością mi to wybaczy. Nic nie poradzę na to, że

w naszej kulturze wsadzanie do więzienia osób ciężko chorych uważane jest za okrucieństwo i torturę. W zasadzie sam tak uważam. Nie przeszkadza mi to jednakże powiedzieć głośno: Szkoda, że tak wyszło!

Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, a Zbigniew Ziobro – jeśli faktycznie jest śmiertelnie chory – nie będzie pierwszym ani ostatnim, który z jakichś powodów uniknie kary. Wymiar sprawiedliwości jest narzędziem wybiórczym, działającym tylko czasami, a w dodatku dość topornie. Nawet, gdy czuwa nad nim sam minister Bodnar. Wszystko, co od nas zależy, jest na ludzką miarę. A reszta, cóż, zrządzenie albo przypadek. Trzeba się z tym pogodzić, jak ze wszystkim, na co nie mamy wpływu.

Z jednym wszak pogodzić się nie mogę: z próbami uświęcania złoczyńcy z powodu jego choroby. Nikt nie staje się lepszą istotą z racji tego, że „walczy z chorobą”. Nikt nie zasługuje z tego powodu na żadną dodatkową porcję szacunku. Zasługuje co najwyżej na pewną oględność. Możemy Zbigniewa Ziobrę i jego czyny zostawić w spokoju, lecz nie wolno nam się godzić z heroizacją tej postaci. Tym bardziej, że jego „heroiczność” ma unieważniać nie tylko jego grzechy, lecz również jego kolesiów, którzy dziś patetyzują jego chorowanie.

JAN HARTMAN

Portfele

Szukam, szukam i nie mogę znaleźć: jak towarzysze europosłowie pomagają społeczeństwu.

Przed zbliżającymi się wyborami do europarlamentu lewica nie ma w Polsce dobrych notowań. Pewnie dlatego, że wyborcy widzą rażącą sprzeczność między słowami i czynami jej polityków – co m.in. jest zasługą towarzysza „demokraty” Włodzimierza Czarzastego, towarzysza „prawdomównego kamienicznika” Roberta Biedronia i towarzysza „lewaka z atestem” Adriana Zandberga. Nie dziwię się, że wielu uznaje ich słowa za ściemę, która ma ułatwić osiągnięcie rzeczywistych celów. A jak jest ze zgodnością słów i czynów w przypadku lewicowych europosłów i kandydatów na europosłów?

Ninjowie sprawiedliwości społecznej

Uważam, że w oczach Polaków najważniejszym aspektem nadchodzących wyborów do europarlamentu jest wchodząca w grę kasa. Na czysto chodzi, z grubsza, o kilka do kilkunastu milionów złotych na lewicową twarz. „Na czysto”, to znaczy po odliczeniu kosztów w rodzaju przejazdów i przelotów, wypasionego hotelu, *foie gras landais* w brukselskiej restauracji, utrzymania biura poselskiego, asystentek itd. Wszystko zależy od czasu trwania służby Polakom w Strasburgu i Brukseli. Może to być tylko jedna pięcioletnia kadencja – jak w przypadku eksperta od bon motów tow. Leszka Millera – lub pięć kadencji, jak w przypadku mającego mniejsze branie w „nareszcie wolnych mediach” tow. Bogusława Liberadzkiego. Nie bez znaczenia jest i to, że te dochody nie są w Polsce opodatkowane. W dodatku europosłowanie nie wyklucza innych fuch. Na przykład tow. Markowi Belce – skądinąd w latach 2003–2004 lewicowemu, a jakże, namiestnikowi Iraku z nadania okupantów – potrafi wpaść w ten sposób ponad 100 tys. euro rocznie. Nie ulega wątpliwości, że w Polsce walka o sprawiedliwość społeczną jest nareszcie godnie opłacana, co uważam za wielkie (jedyne?) osiągnięcie lewicy po 1989 r.

Myślę, że wyborcy chcieliby wiedzieć, na co europosłowie przeznaczają swoje ciężko zapracowane miliony. Koniec końców to z podatków wpłacanych do unijnego budżetu w formie składki – a podatnicy (niestety, także ci lewicowi) są zwykle ciekawi, na co idą ich pieniądze.

Osobiście nie pytałbym o to np. pana Ryszarda Czarneckiego z Prawa i Sprawiedliwości, bo nie ogłasza się on rycerzem ninja sprawiedliwości społecznej. W przypadku lewicy w grę wchodzą jednak samozwańczy i zawodowi obrońcy ubogich i wykluczonych, którzy od lat twierdzą, że serce mają tam, gdzie wielu innych trzyma portfel, czyli po lewej stronie. Nie powinni zatem przedkładać prawa do prywatności ponad prawo ich wyborców do informacji. Wię-

Ściąga dla sejmowej komisji nadzwyczajnej.

Mniej więcej co sześć lat – jeżeli to dobrze wyliczyłem – parlamentarzyści stają zawsze przed tym samym problemem. Byłoby to naprawdę irytujące, gdyby byli to za każdym razem ci sami parlamentarzyści. Można by jednak oczekiwać, że młodzi parlamentarzyści zapoznają się z dorobkiem myślowym ojców parlamentarzystów, aby pewnych prac koncepcyjnych nie prowadzić od początku. Nie silić się na wyważanie otwartych drzwi.

W kwietniu powołano nadzwyczajną komisję sejmową do sprawy: skrobać, czy nie skrobać, kiedy wolno skrobać i kogo wolno skrobać, a kogo wyskrobać. Komisja jest nadzwyczajna – to pewnie aby podkreślić rangę skrobania – chociaż deputowani są zwyczajni, znaczy niedouczeni. To nie wróży jakiegoś przełomu.

Wyrodna matka natura

Spróbujmy zatem popchnąć sprawy do przodu, dostarczając wybrańcom narodu paliwa do przemyśleń, co może wreszcie spowoduje zmianę paradygmatów nie tylko u stanowiących prawa, ale i im poddanych.

Po pierwsze zatem, problem aborcji wiąże się z kwestią początku życia: czy to jest w chwili wyjścia z macicy, czy kiedy formuje się zygota, a może jeszcze wcześniej? Cóż, urodzone dziecko to też jakby taki pół człowiek albo ćwierć człowiek, bo przecież nazwanie tej obsranej larwy człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu uwłaczałoby człowieczeństwu.

Po wtóre, środowiska zwane pro-life stoją na stanowisku, że nie wolno przerywać ciągu życia, bo Bóg tak chce. To jest znowu wbrew naszemu doświadczeniu, z którego wynika, że Pan Bóg na masową skalę niszczy osobnicze przejawy życia ze skutecznością większą od Holokaustu. Nie mówię tylko o tym, że każdy żywy organizm znajdujący się teraz, w tej chwili, na tej planecie, będzie martwy. 8 mld żyjących obecnie ludzi umrze. Cóż to za absurdalne marnotrawstwo!

Chodzi mi też o to, że matka natura w całej swojej mądrości tworzy to życie w nadmiarze. Z obraźliwą rozrzutnością. 200 mln plemników jest w jednym wytrysku. Przeciętny mężczyzna w ciągu życia produkuje blisko 530 mld plemników! Organizm kobiety w trakcie swojego życia wyprodukuje 500 komórek jajowych zdolnych do zapłodnienia. 99,96 proc. tego przychówku umrze przed narodzeniem w podpaskach i tamponach.

Spójrzmy na drzewa: 7 tys. orzechów na jednym, 10 tys. żołędzi na dębie oraz 5 tys. kasztanów na kasztanowcu. Każdy z tych owoców mógłby być początkiem życia nowej rośliny, ale większość nie będzie. Zgniją, zanim wykiełkują. Jakież to barbarzyństwo, bezduszność. Pogarda natury wobec jej najważniejszego produktu, jakim jest materia ożywiona.

eprasa.pl 4496020dae

po lewej stronie?

cej – można, jak sądzę, oczekiwać, że będą skłonni dzielić się materialnym sukcesem z tymi, którzy mieli w życiu mniej szczęścia. Nie na darmo chyba członkowie Razem z właściwym ich wiekowi pożytecznym zapałem skandują na ulicznych demonstracjach: „Solidarność naszą bronią!”.

Stolik niewywrócony

Krótko mówiąc, mnie również dręczą naiwne, ba, głupie, wątpliwości. Czy słowa lewicowych europosłów zgadzają się z ich czynami?

W kadencji 2019–2024 chodzi o Marka Balta, Marka Belkę, Roberta Biedronia, Włodzimierza Cimoszewicza, Łukasza Kohuta, Bogusława Liberadzkiego, Leszka Millera.

Jak to jest w praktyce z tymi sercami po lewej stronie? Po konkretach: jakie domy dziecka wsparli ci już „zarobieni” multimilionerzy, z własnego nadania rzecznicy słabych i najsłabszych? Za ile ciepłych posiłków w noclegowniach dla bezdomnych zapłacili? Może być, że utworzywszy stosowny fundusz, finansują stypendia zdolnym uczniom z popegeerowskich wsi pod Gołdapią, a ja o tym po prostu nic nie wiem? A może pomagają hospicjom? Jeśli nie, to pewnie zrezygnowali przynajmniej z części zarobku na rzecz mediów i think tanków bliskich partiom, które wysłały ich w to dziwne i piękne miejsce, jakim jest europarlament? Przegląd najchętniej zacząłbym od tow. Biedronia (tego od kolekcji mieszkań i zapowiedzianej, a potem odwołanej, rezygnacji z euromandatu).

Coś podpowiada mi, że Polacy doceniliby stosowne wyznania towarzyszy, wzrosłyby notowania lewicy w sondażach i motywacja do pracy leniwego aktywu.

Oczywiście, interesuje mnie również przystępująca do tegorocznych eurowyborów kolejna kohorta „wrażliwych społecznie” nowych i starych kandydatów na multimilionerów z Nowej Lewicy i z Razem. Na przykład: na cóż też ewentualną eurokasę planuje przeznaczyć startujący ze Śląska razemita Maciej Konieczny, którego zapamiętałem jako praktykującego znawcę problematyki wewnątrzpartyjnego mobbingu? Nikt z takim ogniem nie domagał się „wywrócenia stolika”, tak głośno nie skandował „Znajdzie się cela dla Leszka Millera!”. Szczęśliwie jednak tow. Konieczny nie wywrócił Europarlamentu, bo gdzie by teraz, razem z kolegami tow. Millera, szukał pracy? W Biedrze? Trzeba trafu, że na czele warszawskiej listy znowu widzę tow. Biedronia (na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie do europarlamentu kandyduje jego życiowy partner tow. Krzysztof Śmiszek). Jak to mówią, co dwie europensje, to nie jedna. O kolejną kadencję w Europarlamencie w okręgu łódzkim ubiega się również tow. Belka.

Pochwalcie się, towarzysze

Ciekawskim wyborcom internetowe przeglądarki oferują oficjalne wizytówki europosłów w serwisie europarlamentu informujące przede wszystkim o ich działaniach w Strasburgu i Brukseli. Są też nieco mniej sformalizowane serwisy towarzyszy Liberadzkiego, Kohuta, Balta, Millera i Biedronia; towarzysze Belka i Cimoszewicz wyraźnie nie zadbali o stworzenie czegoś podobnego. Do tego dochodzą Facebook, Instagram, Twitter oraz mnóstwo drobnych wiadomości i doniesień rozproszonych po najróżniejszych miejscach w sieci. Niestety, kiedy przeglądam te zwały informacji, nie widzę śladów lewicowej szczodrości towarzyszy europosłów mijającej właśnie kadencji. Dowiaduję się np., że za swoje najważniejsze dokonanie w europarlamencie tow. Liberadzki uznaje „szybki rozwój infrastruktury transportowej (drogi, koleje itp.) w województwach zachodniopomorskim i lubuskim” – o żadnych domach dziecka, bezdomnych, hospicjach itp. nie ma mowy.

Tyle dobrego, że tow. Cimoszewicz tuż przed kolejnymi eurowyborami przygarnął psa, o czym przez kilka dni, pewnie przypadkowo, rozpisywały się wolne media.

Nie znalazłem również jakichkolwiek doniesień o charytatywnych i podobnych zamierzeniach kolejnych kandydatów lewicy na europosłów w latach 2024–2029.

W tej sytuacji sądzę, że – po prostu – źle i za krótko szukałem.

Na pewno Czytelnicy „NIE” coś wiedzą i wskażą przeoczone przeze mnie źródła. W gruncie rzeczy wierzę bowiem, że obecni i aspirujący lewicowi europosłowie już dawno w przejrzystej i łatwo dostępnej formie opublikowali gdzieś w internecie te wszystkie potrzebne informacje. Choćby po to, żeby uniknąć głupiego gadania o zakłamaniu (hipokryzja – kto w ogóle i po co wymyślił takie nielewicowe słowo?).

A może odezwą się sami zainteresowani?

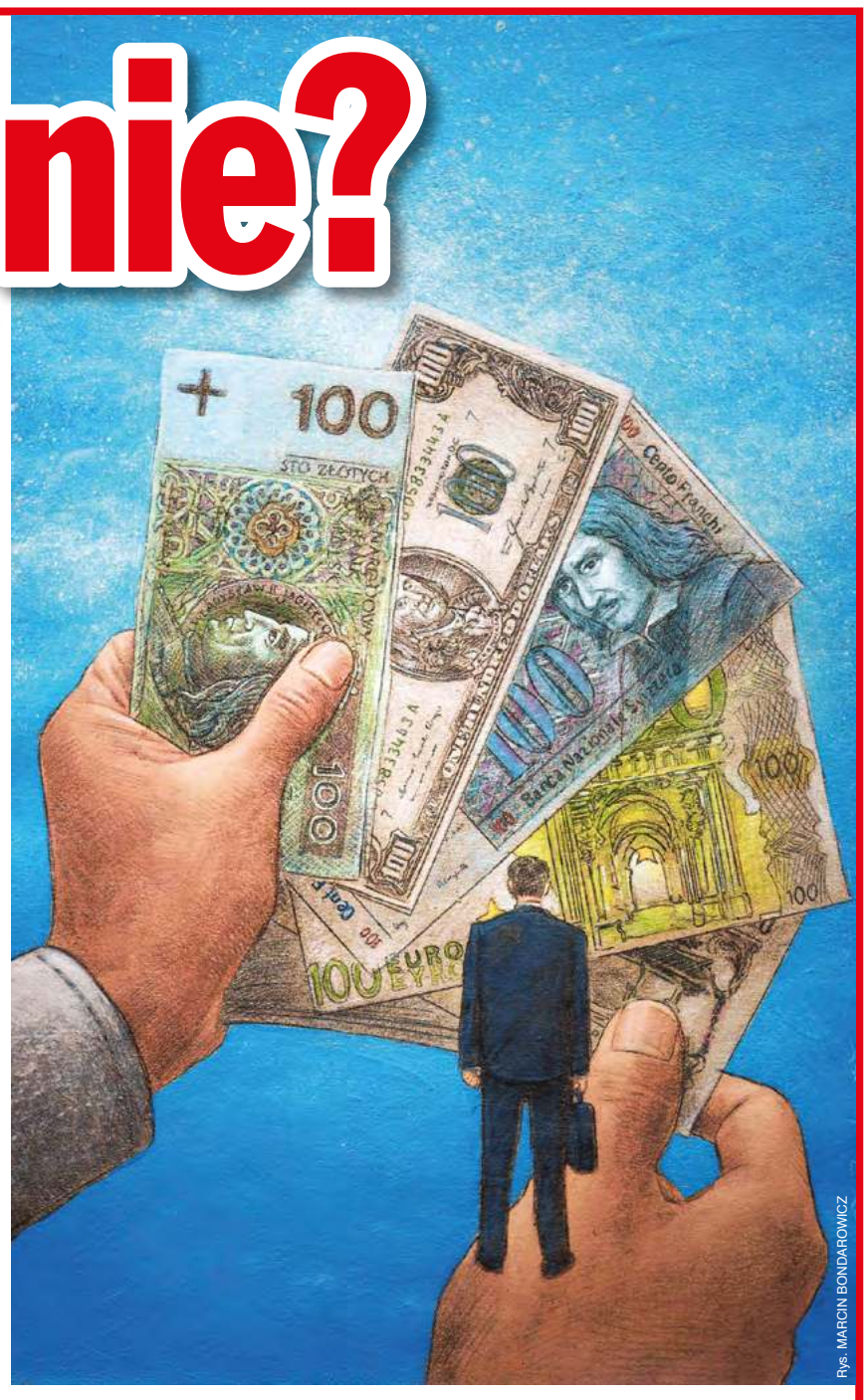
Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Lewica od lat zapewnia o swoim zainteresowaniu doświadczeniami krajów nordyckich. Owszem, niewiele z tego wynika, zapewne dlatego, że literatura tematu jest obszerna (i w dodatku np. szwedzkojęzyczna!), a jej studia bywają nieprzyjemnie żmudne. Na pewno są mniej inspirujące, niż darmowe zwiedzanie Brukseli lub Strasburga. Tak czy owak, rzekomo podziwiani przez polską lewicę Szwedzi, Finowie, Islandczycy słyną z jawności majątków, dochodów i podatków płaconych przez wszystkich obywateli. W 2001 r. Norwegowie zaczęli nawet publikować stosowne informacje bezpośrednio w internecie, żeby dociekliwi sąsiedzi nie musieli się fatygować do lokalnego urzędu podatkowego. No to skoro mogą Nordycy, to i wy, Towarzysze, dacie radę. Śmiało, pochwalcie się wrażliwością swych lewackich serc! Jest szansa, żeby zademonstrować zgodność słów i czynów!

BOGUSŁAW CZARNY

Śmierć niezgodna z konstytucją

Krzywda niechcącemu

Czy nie jest naszym błędem ów nabożny stosunek do życia jako wartości najważniejszej, najwyższej i do której wpisaliśmy sobie niezbywalne prawo w konstytucji („Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia.” Art. 38)?

Skoro mam prawo, a Polska mi je zapewnia,

chcę żyć 300 lat. Domagam się, aby władze tego państwa respektowały moje konstytucyjne uprawnienia. Stworzyły rzeczywiste warunki do ich realizacji. Powiedzmy to wyraźnie: śmierć jest niezgodna z konstytucją.

Trybunał Konstytucyjny powinien to wreszcie jasno wyartykułować.

A skoro musimy mieć wątpliwości co do świętości naszego życia, na co dowodów jest aż nadto, warto drążyć temat.

Po kolejne, życie wiąże się w sposób nieunikniony z cierpieniem. Przykrości, ból, nieszczęścia, niepomyślności i wszystkie te okropieństwa, jakich każdy z nas doświadcza, nie wypełniają wprawdzie większości czasu jego trwania. Na ogół są to incydenty. Ale dotkliwie zapadają w pamięć. Przejmują człowieka natręctwem myśli długo po tym, jak ustaną.

Czy prokreacja jest w ogóle dobra? Świat jest tak ustawiony, że ludzie przedłużają linię życia w stosunkowo młodym wieku, kiedy jeszcze świadomość goryczy istnienia nie jest wszechpotężna. Nie zdają sobie sprawy, iż w rezultacie swojej popędliwości, górującej wówczas nad wiedzą i rozumem, na nieszczęścia skazują powołaną przez siebie istotę. Bez jej zgody. Jest to niemoralne, nieetyczne. Niezgodne z fundamentami naszego prawa: „chcącemu nie dzieje się krzywda”. Bo oznacza ono, że niechcącemu krzywda się dzieje.

Mamy moralny obowiązek i zakaz czynienia kogokolwiek nieszczęśliwym. Skoro zatem nie mamy możliwości zapewnienia naszej progeniturze szczęścia – bo nawet gdy będziemy sprawowali nad nią opiekę, jest to możliwe w ograniczonym stopniu – stajemy się nieetyczni. Ludzie etyczni to ci, którzy wyrzekli się prokreacji (z kilkoma wyjątkami).

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pomyłka przyrody

W końcu też nie sposób nie zauważyć, że na tej planecie miliardy innych istot żyją z naturą w ogromnej harmonii, której powinniśmy im zazdrościć. Kto by nie chciał być motylem, delfinem albo muszką owocówką, wobec których zachowujemy się przecież w sposób uwłaczający, bezwzględny i okrutny?

Spośród wszystkich żyjątek człowiek jest niechybnie najbardziej wadliwym. Wciąż i nieustannie musimy ingerować w naturę, żeby przeżyć. Nie ma innego gatunku, który musiałby to robić tak ogromnym nakładem sił, środków, pomysłów i z taką szkodą dla porządku przyrody.

Zastanowić się zatem wypada nad tym, czy nie tyle zabraniać aborcji, co może ją stymulować. Program „Aborcja plus” z punktu widzenia dobrostanu tej planety przyjęty byłby przez większość fauny z uzasadnionym zadowoleniem.

Darmowe prezerwatywy, bezpłatne gadżety substytuujące aktywność seksualną! Pigułka „dzień po” sprzedawana jak guma do żucia! Masturbacji powinno się nauczać na lekcjach WF. Premiować rodziny niemające dzieci, a te, które robią je bez opamiętania, sankcjonować programem „500 minus” za każde dziecko. To nas może uchronić przed katastrofą nie tylko moralną, ale i faktyczną. Nasza Ziemia tego nie wytrzymuje. Na odtworzenie zasobów, jakie zużywamy przez rok, potrzebuje dwóch lat. W ogromnym stopniu zużywamy jej dobra, które są nieodnawialne, a ich powstanie wymagało milionów lat aktywności. Witalizm to jest krótkowzroczność prowadząca do przyrostu cierpień i globalnej zagłady.

Największą obłudą w tej rozgrywce przekonań o aborcję lub jej brak, jest to że płodzenie i rozmnażanie najbardziej popierają osobniki, które żyją w celibacie. One się w pełni same przed sobą zgadzają z wyżej przytoczonymi argumentami, natomiast oficjalnie prezentują zupełnie inne stanowisko.

Nie jest tak, że drogowskaz nie musi podążać drogą, którą wskazuje. Głoszenie ideałów i namawianie do ich praktycznej realizacji, gdy samemu się tego nie czyni, to łajdactwo.

Niektóre z powyższych argumentów okazać się mogą nieco absurdalne, ale chodzi mi o jasny przekaz dla nadzwyczajnej komisji, która mozolić się będzie miesiącami. Dajcie sobie spokój! Nie zawracajcie ludziom głowy! Nie macie wiedzy, rozumu ani kompetencji, aby decydować o życiu, ale i o nie-życiu. Wszelkie próby narzucania jakichś rozwiązań w tej sprawie trwające od ponad 100 lat to durnoty. Tego się nie da zrobić. Życie i tak pójdzie swoją drogą.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

eprasa.pl 4496020dae

GADMAN

Za mundurem sznur

Rys. MARCIN CHUDZIK

Otwórzmy nim oczy niedowiarkom, bo pewnie nie jest to nasze ostatnie słowo.

W przeddzień powszechnej mobilizacji, która przesądziła o udziale Francji w nowej wojnie, siedział w Cafe du Croissant na paryskim Montmartre. Był socjalistą i antymilitarystą. Samotnym, bo jego polityczni koledzy zagłosowali właśnie w francuskim parlamencie za zwiększeniem budżetowych wydatków na zbrojenia. Pierwszy raz wieloletni aktywiści socjalistycznej, robotniczej Międzynarodówki odrzucili swój internacjonalizm. Uznali, że „francuscy robotnicy mogą strzelać do rosyjskich, bo rosyjscy robotnicy to przecież obcy Azjaci".

Wówczas nadal ideowy Jean Jaures podjął próbę ocalenia pokoju. Zaczął organizować strajk generalny we Francji i Niemczech, aby zmusić rządy obu państw do podjęcia negocjacji. Niestety nestora francuskiej socjaldemokracji zauważył młody, fanatyczny nacjonalista Raoul Vilain. Nie dyskutował z nim, od razu zastrzelił go patriotycznie. Po śmierci Jauresa zamilkli ostatni znani europejscy pacyfiści. Głos zabrały armaty.

Tarczy się trzyma

Dziesięć miliardów złotych obiecał wydać z naszego budżetu premier Tusk na „plan obrony i odstraszania »Tarcza Wschód«". Tak „rozpoczynamy wielki projekt budowy bezpiecznej granicy, w tym systemu fortyfikacji, a także takiego ukształtowania terenu, decyzji środowiskowych, które sprawią, że ta granica będzie nie do przejścia dla potencjalnego wroga".

Sejmowej debaty o kolejnych miliardach wydanych na zbrojenia jeszcze nie było. Ale nie łudźmy się. Gdyby teraz taka odbyła się, to premier Tusk zyskałby jedynie dodatkową legitymizację dla kolejnej militaryzacji naszych pieniędzy.

Zaproponowane wydatki od razu poparli liderzy partii koalicyjnych, czyli Trzeciej Drogi i Lewicy. Ku chwale przyszłego wielkiego „Narodowego Programu Odstraszania i Obrony".

Działania premiera poparła też, jak rzadko, prawicowa opozycja. „To plan, który zaczęliśmy wdrażać w MON w czasach rządów PiS" – przypominał były minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak. Jest „za", jedynie oskarża premiera, że ukradł narodowo-katolickiej prawicy jest patriotyczny militaryzm.

Jak zwykle przy zapowiedziach wzrostu wydatków publicznych pieniędzy, szybko wzrósł chór potakiwaczy. „Fortyfikacja wschodniej granicy Polski oznaczać powinna także przygotowanie tzw. oddziałów fortecznych" – przypomniał generał Waldemar Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych, medialny lobbysta sektora zbrojeniowego. Czas przygotować dodatkowe pieniądze na formowanie, szkolenie i utrzymanie kolejnych wojsk.

„To wytypowanie i szkolenie formacji wojskowych, które będą przygotowane do prowadzenia obrony tych ufortyfikowanych rubieży obronnych. To jest bardzo ważne, bo to jest zupełnie inny typ działań, niż te, do których dotychczasowe wojsko się szkoli" – podsumował. I przypomniał, że nie ma fortyfikacji „nieprzekraczalnych dla obcych wojsk" i obcych nam migrantów bez wykwalifikowanej kadry fortecznej. A ta wymaga też stałego finansowania.

Premier Tusk poinformował, że będzie rozmawiał również o „finansowaniu komponentu satelitarnego" przyszłej „Tarczy Wschód" z Europejskim Bankiem Inwestycyjnym. Polska może otrzymać kredyt w wysokości pół miliarda złotych. Nic dziwnego, że promilitarni publicyści ochrzcili już przyszłe fortyfikacje „Linią Tuska". Zapewne jego imiennik, Donald Trump, zzieleniał z zawiści. Jemu polskie lizuski proponowały jedynie „Fort Trump".

Soldaten kein zivilen

Premier Tusk poinformował nas niedawno, że żyjemy w czasach nadchodzącej wojny. Potem ogłosił plan „Tarczy Wschód" i wzmożenie działań państwa polskiego „wymierzonych w autorów prowokacji oraz aktów sabotażu i dywersji".

Ukoronowaniem tego militarnego gejzeru był wpis premiera na platformie X po zwycięstwie w tenisowym turniej Igi Świątek: „Iga. Tenisowa Tarcza Wschód". Osobom nieinteresującym się sportem przypomnę, że pani Świątek, Polka, wygrała z panią Sabalenką, Białorusinką.

Fajnie, że reprezentantka Polski wygrała, ale po co premier polskiego rządu tak nachalnie upolitycznia sport? Po co nadaje mu wymiar wojny Polska–Białoruś? Po co podkręca antybiałoruskie nastroje na ukochanej przez politycznych ultrasów i nacjonalistycznych idiotów platformie X? Po co żeruje na sukcesie Polki i cieszy się z przegranej Białorusinki, która nie afiszuje się z poparciem dla władz Białorusi. Stara się trzymać z dala od polityki, jak tylko może.

Ciekaw jestem czy doczekam się kolejnego, podgrzewającego nacjonalistyczne nastroje wpisu premiera typu: „Iga. Pierwsza polska rakieta »Tarczy Wschód«"?

Kiedy byłem małym chłopcem hej, i mieszkałem w świętej Częstochowie, miałem sąsiadów braci Szafrów. Ślązaków. Często żartowali, że obaj w czasie wojny służyli w AK. Jeden w Armii Krajowej, a drugi w Afrika Korps. Starszy nieraz życzył mi, abym nigdy nie dożył paskudnych czasów wojennych, jak mawiał: czasów „Soldaten kein zivilen".

Niestety nadchodzą czasy tylko dla żołnierzy. Militaryzacji polityki, mediów, gospodarki, kultury. A postawy pacyfistyczne mogą być uważane za akty prowokacji, dywersji, szpiegostwa nawet.

Politycy rozmnażają nam militarne programy, bo sondaże opinii publicznej jednoznacznie wskazują, że potencjalni wyborcy idą sznurem za mundurem. Aż 67 procent ankietowanych przez SW Research obywateli polskich chce budowy fortyfikacji na granicy Polski z Białorusią i Rosją. Poparcie budowy „Lini Tuska" rośnie wraz z rosnącym wiekiem i zamożnością ankietowanych. Nic dziwnego, że rośnie też pokusa aby wygrywać poparcie wyborcze na przynajmniej medialnej wojnie polsko-rusko/białoruskiej. Zwłaszcza podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego.

Nic dziwnego, że w polskim życiu polityczno-medialnym zwycięża stara złota myśl: „chcesz pokoju, szykuj się do wojny". Autorstwa Wegecjusza. Jak wiele podobnych, jest słuszna, ale też często zwalniająca od głębszej refleksji.

Wielki Mur Polski

Wiara w chroniące Polskę fortyfikacje łączy się z innymi sondażowymi opiniami. Wskazującymi, że gdyby na Polskę napadł wróg, to tylko co piąty męski obywatel RP chciałby wstąpić do wojska lub innej formacji obronnej. By Polski tak bronić. Podobny odsetek patriotycznych Polaków chce wtedy wyjechać z kraju. Najlepiej do Włoch, Hiszpanii, Portugalii, gdzie już kupili sobie mieszkania. Pozostali zamierzają zgromadzić zapasy żywności i poczekać, aż znów nasi sojusznicy nas wyzwolą.

Zatem warto wydać kasę na „Linię Tuska", bo może dzięki niej polscy patrioci zyskają czas na wyjazd, zmagazynowanie żywności w prywatnych schronach albo odszukanie przyjmującej ochotników jednostki wojskowej. Tak to wzbogaceni obywatele polscy wierzą, że można od wojny wykupić się.

Premier Donald Tusk studiował historię na dobrym uniwersytecie. Ale swój projekt „Tarczy Wschód" ogłosił podczas uroczystości ku pamięci zdobycia przez polskie wojsko fortyfikacji w Monte Cassino. Fragmentu „Linii Gustawa", ówczesnej niemieckiej „Tarczy Południowej" broniącej Rzymu przed wojskami aliantów. Po zdobyciu „Lini Gustawa" alianci trafili na kolejną „Linię Gotów" i też ją zdobyli. Francuzi po pierwszej wojnie wybudowali kosztowną Linię Maginota i podczas drugiej na nic się nie zdała. Niemcy mieli swój „Wał Atlantycki" i „Linię Zygfryda". Nie obronili się. Nawet Polska miała swe „Okopy św. Trójcy" i padła w efekcie rozbiorów.

Największa na świecie fortyfikacja, czyli Wielki Mur Chiński, też nie ocalił dynastii Ming. Ale ta fortyfikacja została przez „komunistów" chińskich sprawnie urynkowiona. Jest dziś wielką atrakcją turystyczną, co roku na siebie zarabia i daje wielu innym też zarobić.

Mamy dziś w Polsce czasy militaryzacji umysłów. Pobudzony patriotycznie naród polski bezkrytycznie zapłaci miliardy za samo „szykowanie się do wojny". Nikt pewnie tego procesu nie zatrzyma, bo wielu na tym zarobi wiele. Dlatego marzę, aby pomimo takich nastrojów do wojny jednak nie doszło. Apeluję też do najwyższych władz partyjnych i państwowych, aby nową „Linię Tuska" już teraz projektować jako przyszłą atrakcję turystyczną. Taki Wielki Mur Polski na miarę naszych możliwości. Otwórzmy nim oczy niedowiarkom, bo pewnie nie jest to nasze ostatnie słowo.

Jedyny syn Jeana Jouresa, Louis Paul, zginął bohatersko w czasie I wojny światowej w bitwach nad Marną. Zabójcę Jeana Jouresa po I wojnie postawiono za to przed sądem. Uniewinniono go. Osiedlił się on potem na hiszpańskiej Ibizie. W 1936 roku zabili go tamtejsi republikanie za szpiegowanie dla frankistów.

PIOTR GADZINOWSKI

Haga wyhodowała jaja

Wniosek o ściganie Netanjahu przywraca mi wiarę w sprawiedliwość międzynarodową.

Po tym, jak Karim Ahmad Khan, główny prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze, wystąpił jednocześnie o aresztowanie liderów Hamasu oraz premiera i ministra obrony Izraela – w elitach kolektywnego Zachodu, nawet tych, które dotychczas potępiały czystkę etniczną w Gazie, zapanowała niejaka histeria.

Czarni i ruscy

„Głodzenie ludności cywilnej jako metoda prowadzenia wojny jest sprzeczne z artykułem 8 Statutu Rzymskiego. Podobnie jak umyślne spowodowanie wielkiego cierpienia lub poważnego uszkodzenia ciała lub zdrowia, okrutne traktowanie, umyślne zabójstwo lub morderstwo, a także umyślne atakowanie ludności cywilnej" – napisał Khan.

„Nie ma równoważności – żadnej – pomiędzy Izraelem a Hamasem" – odpowiedział Biały Dom. „To, co dzieje się w Gazie, nie jest ludobójstwem". Joe Biden nazwał wniosek Khana „oburzającym", a sekretarz stanu Antony Blinken – „haniebnym".

Także Polska jest oficjalnie oburzona. Premier Tusk ogłosił na konferencji prasowej, że „w rzeczy samej" i wcale „nie dlatego, że takie zdanie ma prezydent Biden", jest „rzeczą zupełnie oczywistą, że mamy do czynienia z takim nieakceptowalnym symetryzmem".

Nie od dziś wiemy, że w ustach ludzi PO słowo „symetryzm" to najwyższa obelga, ale w tej sprawie przyjdzie mi zgodzić się z Tuskiem: jest on nieakceptowalny. W terrorystycznym ataku z 7 października Hamas zamordował 1200 osób, porwał 250. Izraelskie wojsko w odwecie zabiło 35 tys. cywilów. Proporcja wynosi 30 Palestyńczyków za jednego Żyda – co jest mniej więcej porównywalne z tym, jak hitlerowcy karali ludność cywilną za akcje podziemia.

Heroiczna odwaga, z jaką prokurator Khan wystąpił przeciwko zbrodniarzom wojennym po obu stronach konfliktu – rehabilituje Trybunał, który dotychczas był raczej pokornym narzędziem kolektywnego Zachodu do karcenia przywódców, którzy nam się nie podobają. Powszechne wśród państw zachodnich (chlubnym wyjątkiem jest Francja) oburzenie na decyzję Khana doskonale ilustruje tę hipokryzję. Dopóki MTK ścigał Afrykanów – stanowią oni 90 proc. oskarżonych – i Władimira Putina, „cywilizowany świat" był pełen entuzjazmu dla międzynarodowej sprawiedliwości. Kiedy padło na sojusznika USA, żarty się skończyły.

Choć, teoretycznie, od demokratycznego państwa należałoby oczekiwać moralności wyższej niż od autokraty czy organizacji terrorystycznej.

À propos moralności: warto wspomnieć, że Benjamin Netanjahu, masowo mordując Palestyńczyków, nie walczy o bezpieczeństwo czy przyszłość Izraela. Walczy o wolność. Swoją własną.

Kiedy przestanie być premierem, najpewniej wyląduje w pierdlu. Gdzie skądinąd jest jego miejsce – choć tak po prawdzie, wsadzenie Bibiego za przestępstwa, o które jest obecnie oskarżany, będzie sprawiedliwością z gatunku zamknięcia Ala Capone za podatki.

Prezydenci i premierzy

Trzy sprawy izraelskiego premiera znane są opinii publicznej pod zgrabnymi kryptonimami „1000", „2000" oraz „4000". Netanjahu oskarżony jest o przyjęcie, w ciągu dziewięciu lat, 300 tys. dolków łapówek w postaci cygar, szampana i biżuterii dla żony od dwóch miliarderów, Arnona Milchana i Jamesa Packera, w zamian za różne korzystne dla nich interwencje na najwyższym szczeblu. W drugiej sprawie chodzi o próbę przekupienia wydawcy dziennika „Yedioth Ahronoth" za pomocą ustawy wymierzonej w jego największego konkurenta, dziennik „Israel Hayom". Przewrotność tej historii polega na tym, iż Netanjahu napisał ustawę godzącą w gazetę prorządową, w zamian oczekując złagodzenia krytyki w opozycyjnej. Zaś w zamian za regulacje przychylne dla firm potentata telekomunikacyjnego Shaula Elovitcha, Netanyahu zapewnił sobie życzliwość należącego do niego portalu informacyjnego.

21 listopada 2019 r. Netanjahu został postawiony w stan oskarżenia, co oznaczało, że musiał zrezygnować ze wszystkich swoich funkcji publicznych z wyjątkiem stanowiska premiera. Proces trwa od maja 2020 r.

To skądinąd, zdaniem opozycyjnych polityków i komentatorów, główny powód, dla którego Netanjahu jest tak zdeterminowany w kwestii wywołującej olbrzymie protesty reformy sądownictwa – niezbyt różnej od tej, którą w Polsce usiłował przeprowadzić Ziobro. Jej głównym celem jest ograniczenie niezależności sądów i ich funkcji kontrolnej wobec rządu, a także zagwarantowanie władzy wpływu na to, kto zostaje sędzią.

Dla Bibi kwestia tego, kto zostaje sędzią, może okazać się kluczowa. W odróżnieniu od szlachetnej polskiej tradycji wyrozumiałości, zgodnie z którą przez 35 lat tzw. Wolnej Polski ani jeden aktualny czy były członek rządu nie trafił do pierdla – w Izraelu byli dygnitarze często idą siedzieć.

Za łapówki, defraudacje i nadużywanie władzy siedzieli: były prezydent Mosze Kacaw, były premier Ehud Olmert, byli ministrowie Shlomo Benizri, Arje Deri, Awraham Hirszson. Siedział także naczelny aszkenazyjski rabin Izraela Jona Metzger, zaś naczelny rabin sefardyjski Elijahu Bakszi Doron dostał zawiasy ze względu na wiek. Izraelscy sędziowie się w tańcu nie pierdolą.

Bush i Bibi

Nawiasem mówiąc, w swojej histerycznej reakcji na wniosek prokuratora Khana, Benjamin Netanjahu wygłosił jedno zdanie, które zabrzmiało zaskakująco prawdziwie: „To jak moralne zrównanie prezydenta Busha i Osamy bin Ladena po atakach z 11 września".

Porównanie jest nadspodziewanie trafne: rzeczywiście, podobnie jak Netanjahu, Bush cynicznie wykorzystał barbarzyński atak terrorystyczny i spowodowane przez niego oburzenie własnych

eprasa.pl 4496020dae

Spór o Zielony Ład a przyszłość UE

Federacja albo zaścianek

Masowy protest polskich rolników przeciw Zielonemu Ładowi – zbiorowi proekologicznych zaleceń Komisji Europejskiej – skłania do zastanowienia się nad przyszłością Unii. Podobne protesty wystąpiły też w innych krajach – choć w mniejszej skali. Dodatkowo w Polsce zostały cynicznie wykorzystane przez PiS dla mobilizacji środowisk wiejskich przeciw PO, rządowi i UE w zbliżających się wyborach do parlamentu europejskiego.

Niezależnie od aspektu politycznego – w sporze tym ujawniły się istotne niedostatki aktualnego sposobu zarządzania Unią oraz pewne jej wady strukturalne.

Kadry i procedury

Zacznijmy od zarządzania. Unia Europejska w chwili obecnej jest rodzajem konfederacji suwerennych państw, które scedowały do wspólnego zarządu część sfery spraw publicznych. Początkowo były to tylko procesy gospodarcze: wspólnota rynku wewnętrznego i wymiany międzynarodowej, swobodny przepływ kapitału i ludzi. Później także wiele innych dziedzin z obszaru finansów (wspólny pieniądz), polityki rozwojowej i planowania przyszłości, oświaty i nauki, wymiaru sprawiedliwości; również elementy polityki zagranicznej i obronności.

Do zarządzania tą scedowaną na Unię sferą publiczną powołano wspólne organy – Komisję Europejską i ciała pomocnicze. Są one tworzone w trybie czysto autorytarnym, wyłącznie w formie delegowania przedstawicieli przez wszystkie państwa członkowskie. Ustanowiono też wybieralny Parlament Europejski, ale o kompetencjach ograniczonych, kontrolnych i opiniodawczych. Władzę nadrzędną w Unii zachowało zgromadzenie szefów rządów państw członkowskich, podejmujące decyzje w różnym trybie, w kwestiach najważniejszych na zasadzie jednomyślności (prawo veta).

Przez pewien czas ten system zdawał egzamin. Ostatnio jednak co raz częściej okazuje się, że wskutek wadliwej w istocie metody dobierania kierownictwa i personelu do tych zarządzających organów Unii, ulegają one szybkiej biurokratyzacji i procesom spadku kwalifikacji. W rezultacie zarząd nad znaczną częścią – co najmniej nad połową – sfery publicznej w ramach Unii sprawują zespoły słabsze, bardziej zbiurokratyzowane i mniej kompetentne niż aparat rządowo-administracyjny państw członkowskich.

Do Unii bowiem z reguły nie oddelegowuje się najlepszych kadr, jakimi kraj członkowski dysponuje – te są rezerwowane dla potrzeb polityki krajowej. Obecna przewodnicząca KE w Republice Federalnej Niemiec nie zostałaby kanclerzem.

Pan Wojciechowski nie byłby w Polsce ministrem rolnictwa. W konsekwencji Unia coraz częściej usiłuje ujednolicić różne procedury, które lepiej byłoby pozostawić kontroli lokalnej – jak ostatnio kształt nakrętek do butelek.

Również wielkie programy często grzeszą lekceważeniem lokalnych warunków i brakiem elastyczności, powstają bowiem w zaciszu gabinetów, bez demokratycznej konsultacji i uwzględnienia, a nieraz nawet rozpoznania, krajowych opinii i realiów. Gdyby Zielony Ład powstawał w dialogu ze wspólnotami rolniczymi różnych regionów, a nie tylko z rządami, spotkałby się z lepszym przyjęciem.

Demokracja i kompetencje

Wniosek zatem taki: UE powinna zmierzać do demokratycznego procedowania i zarządzania według metod najlepszych pod tym względem państw narodowych, a nie obstawać przy anachronicznych wzorcach gubernialno-kolonialnych w doborze personelu i metodach pobierania i wdrażania decyzji.

Pierwszy krok w tym kierunku będą musiały zrobić nowo wybrane władze UE. Czas bowiem dojrzał: Unia albo pójdzie do przodu i umocni zakres i formy swej integracji, albo zacznie się zwijać i chylić ku upadkowi. Najpilniejsze do rozwiązania wydają się dwa problemy.

Po pierwsze: demokratyzacja zarządu UE poprzez nadanie parlamentowi wiodącej roli w wyłanianiu Komisji Europejskiej. Rada Europejska może proponować jej skład, ale decydować powinni obywatele i przez nich wybrani europosłowie. Trzeba przy tym pokusić się o to, aby w tak powołanym rządzie Unii znaleźli się politycy z pierwszego szeregu.

Po drugie, należałoby definitywnie zerwać z kryterium reprezentacji państw na rzecz kryterium kwalifikacji i kompetencji. Kryterium reprezentacji pozostanie w Radzie Europejskiej, której nadrzędna rola powinna ograniczyć się do spraw najważniejszych i niezbyt licznych.

Taka zmiana wymaga wzorowania się na strukturach państw narodowych i nieulegania szantażowi obłąkańców węszących wszędzie zamach na suwerenność i zapominających, że każda wielka organizacja międzypaństwowa – nie tylko taka jak NATO i UE, ale też taka jak Światowa Organizacja Zdrowia – ogranicza w tym lub innym zakresie suwerenność, czyli swobodę działania swych członków. Jest to niezbywalna cecha współczesności. Nie należy też cofać się przed groźbą kolejnego „exitu". Brytyjski nie zachęca do naśladowania. Pogrążył to państwo w stagnacji, każde mniejsze i słabsze zniszczyłby kompletnie.

Unia Europejska została zawiązana przed 70 laty po to, aby Europa nigdy już nie stała się ogniskiem nowej wojny powszechnej. Ten cel, jak dotąd, został osiągnięty – ale sytuacja w obszarze poradzieckim wskazuje na jego trwającą aktualność.

Pojawiło się też wyzwanie nowe, nie mniej ważne i trudne: globalizacja. Nie da się jej uchylić lub cofnąć. Jest bowiem konsekwencją ogromnego obniżenia kosztów transportu i zmniejszenia znaczenia czynnika odległości we współpracy gospodarczej. W nowym globalizującym się świecie znaczenie Europy podzielonej na 30 państw ogromnie zmalałoby. Każde z tych państw, może poza kilkoma największymi, wegetowałoby i biedniało, a może nawet wyludniało się. Jedynym wyjściem jest integracja – im ściślejsza tym lepiej.

Stany i rzesze

Historia pozostawiła nam niewiele udanych przypadków pomyślnego i trwałego związku kilkunastu i więcej państw. Wystarczą dwa takie przykłady: amerykański i niemiecki. Obie federacje formowały się z trudem i długo, obie też w wyniku zjednoczenia się wielu podmiotów osiągnęły potęgę i zamożność.

Stany Zjednoczone powstały pod koniec XVIII wieku w rezultacie zerwania z koroną brytyjską jej 13 kolonii w Ameryce Północnej, wygrania przez nie wojny o niepodległość i utworzenia wspólnego państwa (uchwalenie konstytucji 1787). Te jednoczące się państwa („state" w angielskim to właśnie państwo) przez wiele dziesięcioleci zachowały dużą odrębność i autonomię. W ich kompetencji pozostawało wszystko z wyjątkiem polityki monetarnej i zagranicznej. Miały własne armie (milicje), policje, kodeksy i sądownictwo, konstytucje, parlamenty i rządy. I co ważniejsze, przez kilka pokoleń tożsamość stanowa obywateli pozostawała silniejsza niż federalna. Termin „Amerykanin", dziś oznaczający obywatela USA, długo mógł odnosić się jedynie do rdzennych Indian.

W 1860 r., gdy wybuchła wojna secesyjna między 13 niewolniczymi stanami Południa i 19 wolnymi stanami Północy, prezydent Abraham Lincoln zaproponował generałowi Robertowi Lee naczelne dowództwo armii federalnej. Lee, którego talent dał się poznać w wojnach z Meksykiem, odmówił. Gdyż – oświadczył – jego usług potrzebuje jego ojczyzna, stan Wirginia. W konsekwencji został naczelnym dowódcą wojsk Południa i cztery lata później, po przegranej wojnie, skapitulował przed kolegą z Akademii Wojskowej West Point generałem Ulisessem Grantem, naczelnym dowódcą wojsk Północy.

Ta wojna spowodowała przełom: luźny dotąd związek stanów przekształcił się w silną federację z potężną armią i największą gospodarką na świecie. Ale autonomia stanów nadal pozostała ogromna. Policja federalna FBI powstała dopiero w XX wieku i ściga tylko niektóre rodzaje przestępstw, stany nadal mają pod swą władzą sądownictwo, większość sił policyjnych, ustawodawstwo karne i cywilne, oświatę i naukę, gospodarkę. Na brak suwerenności nie mogą narzekać. Najliczniejszy stan Kalifornia zamieszkuje ponad 40 milionów mieszkańców.

Niemcy były unitarnym państwem w bardzo dawnych czasach, kilkaset lat temu. Później przez wieki dzieliły się na wiele państw – chwilami powyżej 30 – często skonfliktowanych ze sobą zbrojnie, łączących się czasami w bardzo luźny Związek lub Rzeszę. Ostatnia wojna między państwami niemieckimi miała miejsce w 1866 r. ; Prusy pokonały w niej Austrię i wypchnęły ją ze Związku Niemieckiego, obejmując w nim hegemonię.

Dzisiejsze Niemcy są stabilną federacją 16 krajów związkowych dysponujących ogromną autonomią – w zasadzie pełnowartościowych państw z władzą nad wszystkim, poza sprawami zagranicznymi i wojskowymi. Największy kraj związkowy Westfalia liczy ponad 18 milionów mieszkańców.

Jak widać, nie taka straszna ta federacja. Pod wielu względami nawet zachęcająca. Może zatem warto do niej zmierzać – zwłaszcza gdy konkurencją miałby być autorytarny zaścianek.

M.Z.

obywateli i świata jako pretekst do wywołania wojny. Z tym że George W. Bush jest zbrodniarzem wojennym na skalę, o której Netanjahu może tylko pomarzyć.

O ile Netanjahu napadł na Strefę Gazy, którą Hamas naprawdę rządzi (co oczywiście nie usprawiedliwia odwetowego mordowania cywilów) – Bush napadł na Irak, który z 11 września nie miał nic wspólnego. Nie miał też „broni masowego rażenia" – administracja Busha cynicznie okłamała społeczność międzynarodową, twierdząc, że jest inaczej. Netanjahu zrównał z ziemią pasek ziemi o powierzchni 360 kilometrów kwadratowych – Bush zgładził całe państwo. Wojsko Netanjahu zamordowało 35 tys. cywilów – w wojence Busha zginęło 300 tys. Irakijczyków. I jest to rachunek bardzo ostrożny: studium opublikowane w prestiżowym miesięczniku „Lancet" mówiło o 600 tys. ofiar.

W 2009 r. badacz z uniwersytetu Stanforda Michael Haas opublikował książkę zawierającą starannie wyliczone i opisane zbrodnie wojenne popełnione przez Busha i jego administrację: było ich 269. Jest to jedyny akt oskarżenia, jaki grozi byłemu „Przywódcy Wolnego Świata" – amerykańscy zbrodniarze z zasady umierają ze starości w luksusie, otoczeni podziwem i żegnani strzelistymi eulogiami (patrz Henry Kissinger).

Przyszłość Benjamina Netanjahu nie jest aż tak pewna. A moralna ocena ludobójstwa, jakie uprawia w Gazie, nabrała – dzięki prokuratorowi Khanowi – wagi oficjalnej.

Szacun.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

REKLAMA

eprasa.pl 4496020dae

PLURALIS MAIESTATIS

Addio, pomidory!

Czemu Luna dała ciała.

Reprezentantki Polski na Eurowizji nie tłumaczy to, że konkurs tak od strony muzycznej, jak i widowiskowej stał w tym roku mocno. Nie można nawet robić sobie podśmiechujek, że piosenka Luny „The Tower" jest sama w sobie zła, a Luna jako spadkobierczyni keczapowego imperium Wielgomasów lepiej by się czuła śpiewając „Addio, pomidory". Tekst „The Tower" jest dobry i muzyka też. Kłopot w tym, że młoda Wielgomas kompletnie nie umie śpiewać. Nie umie się też poruszać, co było wyraźnie widać już na teledysku. Sama zaś jej uroda jest delikatnie mówiąc nienachalna. Nikt by tego ostatniego nie zauważył, gdyby śpiewała jak Gaga albo Streisand. Na Eurowizji były dwa świetne głosy kobiece: jeden Żydówki Eden Golan (piosenka „Hurricane") i drugi transpłciowej Irlandki Bambie Thug („Doomsday Blue"). Żadna z nich nie wylądowała na podium. Bambie oskarżono o satanizm, a Eden o… całą resztę.

Krew chrześcijańskiej wokalistki

Na Lunę wylała się pierwsza fala hejtu zaraz po tym jak ogłoszono, że to ona będzie reprezentowała Polskę w Malmö. Sugerowano, że tata kupił jej uczestnictwo w imprezie. Niby jak? Kupił głosy polskich widzów? Cóż, na pewno mocno przepłacił sztabowi nauczycieli śpiewu, tańca, projektantom ubrań córki, a nawet zdaje się, że przepłacił menago, który nie upilnował córki „Pomidorówki" przed wygadywaniem idiotyzmów – hańbiących już nie tylko dla Luny, ale i dla bardziej rozgarniętej części Narodu. Tymczasem już na występach promujących imprezę było widać i słychać, że Luna mocno oberwie. Wiać trzeba było moja panno, póki można było – bo i Ziobro w obecnym stanie lepiej by zaśpiewał. Ale nie, armia przydupasów robiła to, co zwykle robi… Wsparta przez agencję PR, która montowała pozytywne komentarze, co robi i teraz. Nie jest jednak dobrze uwierzyć w swoją legendę. A z życia taka kurwa, że często daje nam nie to, czego chcemy, a czego potrzebujemy… Staremu zaś Wielgomasowi udowodniono, że stara Europa to za wysokie progi na jego nowe pieniądze.

Ostatni występ Luny w Malmö, to była rzeź niewiniątka. I hejt znowu się rozlał. Polaków dla Polki. Triumf, że milionerce nie wyszło i rozczarowanie, że splamiła… eeee… biało-czerwony mundur. Fakt, ile razy można tak srogo obrywać po eurowizyjnej mordzie? Edyta Górniak zajęła drugie miejsce w konkursie już 27 lat temu. Przegrała z Irlandią. Od ćwierć wieku Polska ma niezaspokojony apetyt na dobrą muzykę komercyjną, choć przyznam, iż zdawało mi się, że większego gówna niż występ Rafała Brzozowskiego w 2021 r. nie zobaczę. Myliłam się.

Żyd się przyda

Jak swoją karierę postanowiła uratować Luna? Obrócić martwego i śmierdzącego kota ogonem – dołączyć do hejtu, najlepiej międzynarodowego hejtu, który wylewał się na innego uczestnika. Darowała sobie Bambie Thug z jej widocznymi diabelskimi rogami i rzuciła się na Żydówkę, która na pewno ma – jak zapewniano od wieków – ukryte diabelskie kopytka… Eurowizyjne pokolenie Z „demokratycznie" wybrało kozła ofiarnego, czyli Eden Golan. Luna bystro obtarła gila porażki już w Malmö i zaczęła odpierdalać wraz z innymi, o czym pisały zachodnie gazety. „Piosenkarka Eden Golan została wygwizdana przez publiczność i zbojkotowana przez innych uczestników konkursu. Na zewnątrz, na ulicach Malmö demonstranci świętowali Hamas. Niektórzy krzyczeli, że Żydzi powinni »wrócić do Polski«. (…) Gniew i gwizdy w Malmö były skierowane do młodej, zaledwie 20-letniej kobiety. Organizatorzy konkursu piosenki nie zapewnili Eden Golan bezpiecznego środowiska" – za „Schwäbische Zeitung".

„Konkurs Eurowizji, jakiego doświadczyliśmy w tych chaotycznych dniach w Malmö, nie był spokojnym i radosnym festiwalem muzycznym, jakim chciałby być. Światowa polityka przyćmiła to wydarzenie. Trudno było wyczuć hasło »Zjednoczni przez muzykę«. Zamiast tego niektórzy uczestnicy i prezenterzy punktów brali udział w podżeganiu i nienawiści. (...) Niegodny spektakl, który powinien być zdecydowanie potępiony. (...) Eurowizja chce utrzymać dystans do polityki? Nie udało się. I już się nie uda" – to „Allgemeine Zeitung". Tymczasem w Polsce pojawiły się filmiki i artykuły, w których Luna „ujawnia" i „wyznaje", że izraelska ekipa atakowała innych na Eurowizji: „Media i delegacja Izraela bardzo zaczepiała i prowokowała nas, wszystkich artystów. Ja miałam może takie trochę szczęście w nieszczęściu, że nie brałam udziału w półfinale, w którym brał udział Izrael. Mnie to bezpośrednio nie dotknęło, natomiast dotknęło to bliskich mi artystów. Nie mogę się wypowiadać w imieniu kogoś innego, po prostu, ale były to nieprzyjemne sytuacje, które były niekulturalne i niestosowne".

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Rozerwane ciała na Marsz Niepodległosci

Luna zaprotestowała przeciwko udziałowi Izraela na Eurowizji zakładając na finał – tj. na oglądanie finału – płaszczo-plandekę w której występowała. Obkleiła ją zdjęciami wszystkich uczestników Eurowizji „oprócz [tego z] jednego kraju". Może i można by to nazwać dziecinadą, gdyby człowiek nie wiedział, co się dzieje z motylkiem w rękach okrutnego dziecka… Aha, i jeszcze jedno: gdyby hipotetycznie Izrael wygrał i gdyby hipotetycznie Luna miałaby wręczać statuetkę Eden, to – uwaga, uwaga! – Luna by nie wystąpiła. A wiemy to od samej rzeczonej i wygadanej Luny, gdyż Pomponik.pl zaoferował Lunie ekskluzywny wywiad – dostępny na YouTubie.

Dowiedziałam się z niego również, że

Luna miała zbyt wyciszony mikrofon. Ej, lalka, nie krępuj się – następnym razem wal od ręki, że ci Mosad mikrofon wyłączył!

W komentarzach, które roją się jak grzyby po deszczu, będzie jeszcze więcej słów uznania dla twojej mądrości i odwagi…

Z mojej zaś strony komentarz brzmi: od teraz ONR ma nowy hymn. „The Tower" Luny Wielgomas towarem dla polskich faszoli! Dla wszystkich faszoli zresztą. Niuni wszakże marzy się kariera międzynarodowa. A niech ją sobie ma! Już widzę jak się „The Tower" w Święto Niepodległości niesie na wietrze i pierdach Bąkiewicza, po Moście Poniatowskiego, po Moście: „Rozerwane ciała rozproszone po mojej historii, samotne godziny prowadzące do mojego przeznaczenia, jestem tą, która zbudowała wieżę"...

Luna pokazała światu niesłabnący polski antysemityzm. Własną głupotę i porażającą słabość charakteru. Jak znam życie, kiedy dziewczyna już w końcu dorośnie, będzie sobie wyrzucać to drugie i trzecie. Antysemityzm wszakże w Polsce jest cnotą, albo w ogóle się go już nie zauważa, bo jest równie popularny jak zupa pomidorowa.

IZABELA SZOLC

Po co nam zmiany w zasadach pisowni?

Język nazbyt giętki

Mamy pierwszą dużą kodyfikację ortograficzną od lat 30. XX w. Rada Języka Polskiego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk ogłosiła uchwalenie zmian zasad ortografii i opublikowała nowe „Zasady pisowni i interpunkcji polskiej". Choć zmiany ogłoszono już teraz, zaczną one obowiązywać dopiero od 1 stycznia 2026 r. Jak wyjaśnia rada, chodzi o to, by dać Polakom czas na oswojenie się z nimi.

Wszystkie językowe reformy, jakie wprowadzano w ostatnich dziesięcioleciach, miały charakter jednostkowy i na ogół nie nastręczały trudności – wystarczyło tylko je zapamiętać. Tym razem mamy jednak do czynienia z naprawdę dużymi zmianami, spośród których jedne wydają się jak najbardziej słuszne i od dawna wołające o wprowadzenie, inne – wprost przeciwnie.

Do tych pierwszych należy zasada pisania dużymi literami wszystkich wieloczłonowych nazw geograficznych i miejscowych, nazw obiektów przestrzeni publicznej i lokali użyteczności publicznej. Wyjątkiem pozostaje „ulica", którą nadal piszemy małą literą. Podobnie dużymi literami będziemy zaczynać wszystkie nazwy marek i ich produktów. To zmiany niewątpliwie potrzebne, bo porządkują i ujednolicają coś, co do tej pory było nieoczywiste lub nastręczało kłopotów przy pisaniu.

Nie byłabym jednak tak optymistycznie nastawiona do zadekretowanego przez RJP rozdzielnego pisania „-by" ze spójnikami oraz bezwzględnie łącznego „nie-" z imiesłowami przymiotnikowymi. Spodziewam się w tym względzie bałaganu i wątpliwości. Szczególnie, że niektóre nowe zasady są wprost przeciwne do obowiązujących dotychczas. A także dlatego, że przeciętny używacz polszczyzny na ogół nie ma pojęcia, co to jest spójnik i imiesłów. Łatwo więc raczej nie będzie.

Nie chcę się jednak wdawać w omawianie całości wprowadzanych zmian – każdy może zapoznać się ze szczegółami na stronie internetowej: rjp.pan.pl.

Mnie interesuje bardziej to, po co w ogóle w dzisiejszych czasach taką kodyfikację języka się przeprowadza. Mam bowiem wrażenie, że szacowne grono RJP wykonało kawał dobrej (mimo wszystko), ale nikomu niepotrzebnej roboty. I to skłania mnie do ogólniejszej refleksji dotyczącej polszczyzny.

Jeżeli bowiem przyjrzeć się obecnemu językowi polskiemu – temu, z którym przychodzi nam obcować na co dzień w mowie i piśmie – to przyznać trzeba, że generalnie jako społeczeństwo

jesteśmy językowymi ignorantami. Duża, jeśli nie największa, zasługa w tym internetu, a szczególnie mediów społecznościowych.

Kiedyś było tak, że przeciętny człowiek, jeśli nie pracował w zawodzie wymagającym przynajmniej podstawowej biegłości językowej, mało miał w życiu szans, by publicznie wypowiadać się pisemnie. Internet dał nam to, że pisać do szerokiej publiczności może dziś każdy. No więc zaczęły pisać osoby, które w zasadzie nigdy nie powinny tego robić. Nie dlatego, że nie mają nic do powiedzenia (choć to też grzech powszedni większości internetowych „pisarzy"), ale dlatego, że nie umieją tego robić – napisanie choćby jednego zdania lub jego równoważnika bez żadnego błędu jest dla nich poziomem nieosiągalnym. A interpunkcja i znaki diakrytyczne są w ich oczach fanaberiami z epoki przedlodowcowej.

Przy okazji: literaturę dobrej jakości, uczącą języka, zastąpiliśmy albo pseudoliterackim chłamem, albo internetem właśnie. Jak kolejne pokolenia Polaków mają się uczyć dobrej i poprawnej polszczyzny na takiej lekturze?

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że drukowana prasa jest dziś w odwrocie, a zastępuje ją niskiej jakości internetowy serwis informacyjny; jeżeli dołożymy do tego fakt, że redakcje rezygnują dziś z zatrudniania profesjonalistów piszących, redagujących i korygujących teksty (zastępując ich sztuczną inteligencją lub studentami na umowę-zlecenie); jeżeli przyjrzymy się polszczyźnie telewizyjnej, szczególnie tej z programów informacyjno-publicystycznych i – zwłaszcza – z reklam; jeżeli poczytamy wszechobecną już dziś (i przenikającą do języka potocznego) korporacyjną nowomowę, to obraz katastrofy językowej będzie pełny.

Widać dziś gołym okiem, że większość wypowiadających się w formie pisemnej (ale nie tylko) ma zasady języka w głębokim poważaniu. Dla kogo więc właściwie te zmiany są? Kto będzie je respektował? Zapewne tylko oficjalne wydawnictwa literackie i naukowe, bo na prasę, media internetowe i inne publikacje w sieci bym specjalnie nie liczyła. Obawiam się, że poprawność językowa nie wzrośnie, a piszących po uważaniu nie ubędzie od tych zmian. A nawet wprost przeciwnie.

Na forach językowych w internecie można poczytać komentarze, które znamionują, że dzieło RJP i tak nie będzie miało większego znaczenia. „Młode pokolenie niech pisze wszystko małą literą, będzie im łatwiej. Nie lubią się męczyć" – pisze jedna z komentatorek na facebookowym profilu „Mówiąc inaczej" prowadzonym przez językową edukatorkę Paulinę Mikułę. Ktoś inny postuluje – ironicznie, ale niebezpodstawnie – całkowitą anarchię językową. I tak to właśnie wygląda. Młodsze pokolenia traktują zasady językowe jak niepotrzebne obciążenie. „Ja mam być w pisowni logiczny i zrozumiały. Reszta to utarty i ucierany balast" – dodaje inny użytkownik. Co prawda trudno mi wyobrazić sobie, jak można być zrozumiałym bez znajomości i respektowania zasad języka, ale… ja zaliczam się już do językowego dziaderstwa. Czyli do tzw. gramatycznych nazistów, którzy swoim nieracjonalnym przywiązaniem do zasad językowych hamują swobodę wypowiedzi, szczególnie w internecie.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Niby język jest po to, żeby się porozumiewać i pewnie zawsze będzie się zmieniał w miarę potrzeb posługującej się nim populacji. Rzecz w tym, że współczesna polszczyzna coraz bardziej tę komunikacyjną funkcję języka ogranicza. Dziś kilka pokoleń Polaków mówi i pisze zupełnie innymi językami bardziej niż kiedykolwiek – różnice pokoleniowe nigdy bodaj nie były tak wielkie i tak widoczne, jak obecnie. Nie dziw, że się dogadać nie idzie. Nawet na temat języka.

EDYTA BAKER

eprasa.pl 4496020dae

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Mamy w tej chwili do czynienia z* ***wojną religijną,*** *która została rozpoczęta przez Trzaskowskiego. Właśnie nakazał wyeliminować wszelkiego rodzaju symbole religijne, wiadomo, że chodzi o religię katolicką (…). I to będzie nam towarzyszyć, póki oni będą rządzić, bo ta* ***opcja europejska jest właśnie taka – zniszczyć religię, zniszczyć to, w co ludzie wierzą, że są czymś więcej niż tylko homo sapiens, że są ludźmi, którzy mają duszę, że są ludźmi, którzy zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boga*** *(…). Że są ważni i – jeśli chodzi o to, co najważniejsze, co w naszym wnętrzu, w naszych sercach, duszach – nieśmiertelni. Chcą to zniszczyć,* ***chcą z ludzi zrobić zwierzęta, my się tu w Polsce na to nie godzimy.***

Jarosław Kaczyński, Dąbrowa Białostocka, 16 maja

■ ***Odbudowa narodu*** *musi następować poprzez odbudowę tkanki społecznej, wzajemnie przenikających się środowisk, społeczności i wspólnot, cechujących się szczególną w porównaniu z organami państwa demokratycznego stabilnością, budowanych wokół różnych idei przewodnich (…)* ***wreszcie wokół realizacji potrzeb najpierwszych, w tym wspólnego wyznawania wiary i wspólnotowego przeżywania powołania do katolickiej,*** *społecznej służby całemu narodowi. (…) Chrześcijaństwo, głęboko przenikające naszego ducha narodowego i kulturę, daje nam w Polsce wszelkie instrumenty, by budować taką tkankę narodową.* ***By na nowo tchnąć ducha wspólnej troski o byt Rzeczypospolitej w rozedrgany złudzeniami naród.***

Jerzy Kwaśniewski, Ordo Iuris, X, 14 maja

■ *Stop narzucania swojego światopoglądu innym! Prezydent Warszawy zakazał krzyży w stołecznych urzędach. W ten sposób ingeruje w swobodę wyznawania wiary katolickiej, której on sam nie posiada.* ***Narzuca katolikom swoją niekatolicką ideologię i niespójne filozoficznie przekonania.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 16 maja

■ *Trudno się dziwić, że rasistowski reżim niemiecki dążył do biologicznej zagłady Polaków.* ***Można też zrozumieć, że kryminalistki, które zawodowo trudnią się sprzedażą środków aborcyjnych i zarabiają na tym miliony euro, że te projekty i te postulaty popierają.*** *(…) Zdumienie musi budzić fakt, że projekty prowadzące do zagłady naszego narodu są popierane przez koalicję, która od kilku miesięcy rządzi Polską.*

Mariusz Dzierżawski, Fundacja Pro Prawo do Życia, sejm, 16 maja

■ *Tyrańskie oblicze Lewiatana ukazał w Warszawie Rafał Trzaskowski. Nakazując usunięcie krzyży z przestrzeni publicznej i łamiąc ludzkie sumienia narzucaniem ideologii LGBT pokazał, komu służy liberalna ideologia, jakiej on i jego partia są wiernymi akolitami. (…)* ***Mówiąc krótko, w Warszawie przejawiła się antychrystyczna twarz liberalizmu. (…) Dechrystianizacja Polski idzie pełną parą.*** *Co zrobić wobec tego? Tylko jedno: przyłączyć się do Kontrrewolucji.* ***Niech ateistyczny radykalizm Trzaskowskiego będzie zachętą dla wszystkich nas, wierzących w Jezusa Chrystusa, którzy powinniśmy jak najszybciej się przebudzić i podjąć aktywną walkę o przywrócenie Bożego porządku.***

Paweł Chmielewski, PCh24.pl, 16 maja

KLECHA

Rys. WIDGET

Święty z Nowego Jorku

Na Boże Ciało opowiem Wam o ciele czarnym, ale błogosławionym.

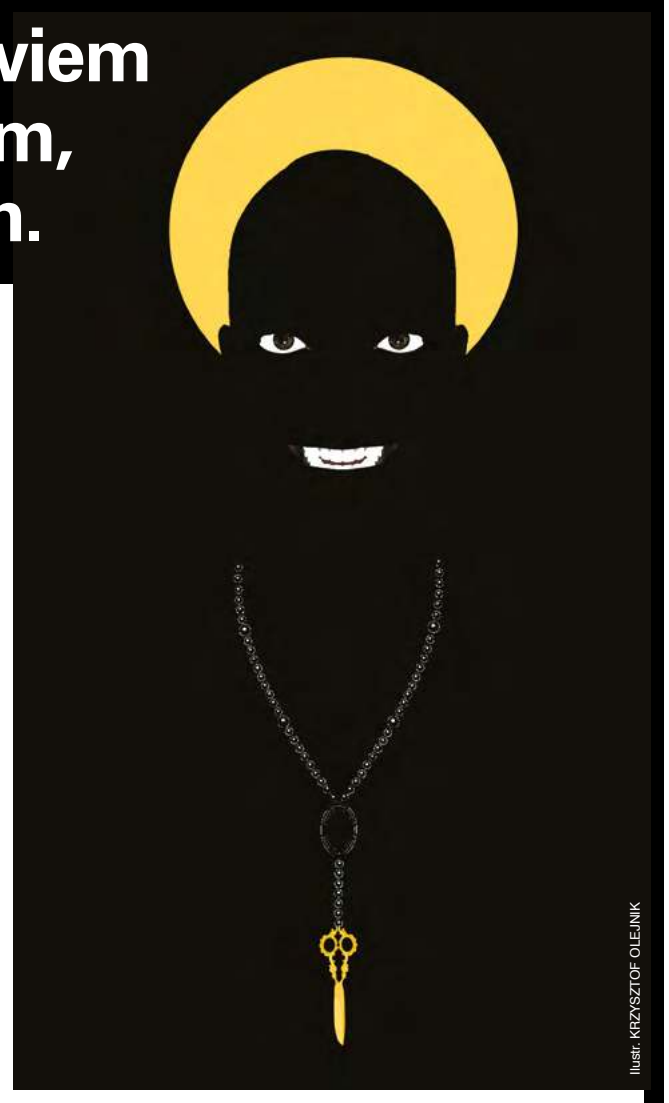

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Nowy York jest jak dawny Rzym" – zauważył Ed Koch, były burmistrz NY. Rzym ma wielu świętych, a NY? Przekonajcie się sami, ale koniecznie, jeśli kiedyś tam będziecie, odwiedźcie bazylikę Old St. Patrick's przy Mott Street. Na początku lat 90. XX wieku, Wojtyła nakazał przekopać okoliczny cmentarz w poszukiwaniu bardzo szczególnego ciała…

Ciała – czarnego.

Kilkanaście lat po zostaniu papieżem nielubiany w Stanach Lolek postanowił zainteresować się odpływającymi do zielonoświątkowców czarnoskórymi wiernymi i podarować im osobistego świętego.

Watykanowi zależało również na zbliżeniu z USA i zapoczątkowaniu wspólnego programu – attention! – „na rzecz pokoju na świecie". Nie bez znaczenia był również fakt, że epidemia HIV wyszła poza amerykańskie kręgi homoseksualne. To coś, co miało być chorobą gejów i rozwiązłych artystów, przez przetoczenia niezbadanej na obecność wirusa krwi, rozlało się na resztę Amerykanów. Można było wsadzić sobie w zad opowieść o tym, że AIDS to kara boska na sodomitów.

I Kościół katolicki złapał się tego – w przeciwieństwie do wielu amerykańskich kaznodziejów, którzy nadal straszyli grzeszników ogniem piekielnym. Nieprzypadkowo podczas pielgrzymki do USA, Wojtyła wygłaszał pokojowe orędzie w ONZ, modlił się w Central Parku (wstęp wolny), a jego najsłynniejsza okolicznościowa fota to portret z dziewięcioletnim Stevenem Nortonem: czarnoskórym dzieciakiem przykutym do wózka inwalidzkiego i cierpiącym na AIDS. On i jego matka mieli towarzyszyć Wojtyle w czasie mszy świętej, którą papież celebrował w katedrze St. Patrick's.

Przy okazji Karol zapowiedział proces beatyfikacyjny Pierre'a Toussainta – zmarłego w połowie XIX wieku fryzjera znanego ze szczodrości. Truchło Toussainta, w oczekiwaniu na papę, nie spoczywało już na jakimś romantycznym cmentarzyku morowym, a w krypcie pod głównym ołtarzem w Świętym Patryku, w towarzystwie biskupów. Uwierzcie – nieliche wyróżnienie! W 1996 r. Wojtyła ogłosił Toussainta „Venerabilis Dei Servus". NYC nie czekając na więcej ogłosił go świętym.

Zlecenie na Czarnego Świętego nowojorski arcybiskup, kard. John Joseph O'Connor dostał w 1989 r. i wtedy właśnie archeolodzy z łopatami ruszyli na Mott Street… Pośród mrowia kości udało im się odnaleźć w sugerowanym przez zapisy miejscu szkielet starca, którego stan wskazywał, iż gość wyraźnie kulał pod koniec życia. Uznano, że jest to rzeczony Pierre Toussaint – kulawiec. Czarny niewolny Haitańczyk, przewieziony przez swoich francuskich „państwa" do Nowego Jorku. Z ich polecenia wykształcony na fryzjerczyka.

Z ich polecenia i dzięki swoim umiejętnościom Pierre wysforował się na fryzjera nowojorskich celebrytów! Wypożyczany, uwielbiany niewolnik stał się właścicielem niejednego sekretu. A sekrety dają władzę, choć czasem dyskretną… „Ten człowiek jest fryzjerem. Nie jest biuletynem informacyjnym" – miał odpowiedzieć plotkarskiemu klientowi, z jakichś przyczyn mówiąc o sobie w trzeciej osobie.

Uwolniony rozwijał swoją karierę i został jednym z fundatorów świętego Patryka, a także ochronki dla czarnoskórych sierot pod wezwaniem św. Wincentego a Paulo. Finansował wdowę po swoim panu, bo rodzina Berardów znalazła się w biedzie. Przestał, kiedy dama znalazła sobie kolejnego męża, a może i on jej go znalazł…

Poza tym z satysfakcją współfinansował sierociniec św. Elżbiety Anny Seton – dla małych białasów oraz został finansowym patronem Zgromadzenia Sióstr Oblatek Opatrzności – pierwszej czarnej wspólnoty zakonnej. 15 tomów jego korespondencji z przyjaciółmi z Haiti stanowi dokumenty będące jednym z filarów kanonizacji.

W dodatku Pierre miał mieć paranormalne zdolności, ale może po prostu należał do jednej z haitańskich kast kapłańskich zajmujących się voodoo?

Pierre, syn Urszuli – ten, który wybrał sobie nazwisko na cześć przywódcy rewolucji haitańskiej Toussainta Louverture'a. Łamał sanitarne barykady, aby nieść pomoc chorym na cholerę… Umarł 30 czerwca 1853 r. w wieku 87 lat. Nie ma co – nawet fryzjer perukarz Marek Suski może mu pozazdrościć kariery!!!

Jak będziecie w NY, kopsnijcie się na Mott Street, a dalej złóżcie uszanowanie Czcigodnemu Czarnoskóremu Dżentelmenowi w świętym Patryku. Koleś miał styl! Jak to powiedział o NYC reżyser Sidney Lumet: „Ludzie reagują histerycznie, jeśli chodzi o Nowy Jork. Brzydota tego miasta jest przepiękna".

IZABELA SZOLC

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ 10 maja ksiądz Dominik R., 34-letni wikariusz jednej z parafii w powiecie jasielskim na Podkarpaciu, zaprosił 13-letniego chłopca do wikarówki pod pretekstem wspólnego treningu w domowej siłowni. W trakcie ćwiczeń klecha zachęcał chłopca do rozebrania się do naga, a następnie zaczął nagrywać dziecko przy pomocy telefonu. 13-latek wybiegł z płaczem z siłowni i poinformował o wszystkim rodziców. Jeszcze tego samego dnia do drzwi księdza zapukała policja. Podczas przeszukania mieszkania oraz urządzeń elektronicznych duchownego policjanci znaleźli dowody mogące świadczyć o tym, że liczba skrzywdzonych przez księdza dzieci może być większa. Decyzją sądu ks. Dominik R. został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące. Wikariusz usłyszał zarzuty popełnienia przestępstw polegających na utrwalaniu nagiego wizerunku małoletniego, naruszenia jego nietykalności cielesnej oraz posiadania treści pornograficznych z udziałem małoletnich. Najpoważniejsze z tych przestępstw zagrożone jest karą pierdla do lat 10.

✚ Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz w rozmowie z „Gościem Niedzielnym" podkreślił, że nie ma mowy o likwidacji lekcji religii w szkołach, ponieważ są one zapisane w konkordacie. Jednocześnie zauważył, że „problemem nie jest to, gdzie odbywają się katechezy, tylko to, że w wielu miejscach są bardzo słabe". Wicepremier ma szczęście, że w konkordacie nie zapisano zakazu rozwodów.

✚ 13 maja Prokuratura Okręgowa w Gdańsku skierowała do sądu w Elblągu akt oskarżenia przeciwko franciszkaninowi o. Polikarpowi N., któremu zarzuca liczne przestępstwa o charakterze seksualnym: gwałt, pedofilię i wykorzystywanie zależności wobec małoletnich. Postępowanie zostało zainicjowane zawiadomieniem delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży zakonu, do którego przynależy oskarżony. Jak podaje prokuratura, zakonnik miał dopuścić się zarzucanych mu przestępstw, wykorzystując zaufanie wynikające z pełnionej funkcji przewodnika duchownego. Do czynów objętych aktem oskarżenia miało dochodzić w latach 2006–2016 w Polsce i za granicą. Franciszkanin pracował m.in. w Sekretariacie Stanu w Watykanie i był współpracownikiem papieża Franciszka. Łącznie prokurator zarzucił ojczulkowi popełnienie 14 przestępstw na szkodę czwórki małoletnich. Większość zarzutów dotyczy czynów wobec osób, które w chwili ich popełnienia nie miały ukończonych 15 lat. Polikarp N. nie przyznaje się do winy. Przesłuchiwany w toku postępowania przygotowawczego odmówił złożenia wyjaśnień. Przebywa w areszcie. Z zarzuconych oskarżonemu przestępstw najsurowszą karą zagrożone jest doprowadzenie podstępem do obcowania płciowego. Grozi za to od trzech do 15 lat pierdzenia w pasiak. Zakonnikowi zarzucono osiem takich czynów.

✚ Serwis Wirtualna Polska nakrył Daniela Obajtka na kolejnym szwindlu. Były prezes Orlenu kontynuuje na Podkarpaciu kampanię do Parlamentu Europejskiego. 16 maja pochwalił się zdjęciem sprzed Sanktuarium im. Andrzeja Boboli w Strachocinie k. Sanoka. Zaplanowano tam wówczas uroczystości odpustowe, na które, jak co roku, zjechali się wierni z całego regionu. Obajtek wrzucił fotografię do swoich social mediów w momencie rozpoczęcia mszy otwierającej obchody święta. Można by zatem pomyśleć, że kandydat PiS brał udział w wydarzeniu. Ponieważ sztab Daniela Obajtka nie udziela informacji, gdzie pojawi się on danego dnia, dziennikarze WP pojechali prędko do Strachocina. Na miejscu nie tylko nie zastali byłego wójta Orlenu, ale z relacji świadków dowiedzieli się, że w ogóle go tam nie było. Obecności Daniela „brudnej pały" Obajtka zaprzeczyli kolejno: sprzedawcy z przykościelnego odpustu, zabezpieczający wydarzenie strażacy i jeden z księży uczestniczących w porannej mszy. Cóż, błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli, czy jakoś tak.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 4496020dae

Najważniejszą dla państwa polskiego kwestią jest teraz to, kto zapłodnił 13-letnią matkę.

Nastoletni obiekt poniżenia

Procedurę związaną z wykrywaniem molestowania dziecka opracowało Polskie Towarzystwo Ginekologiczne. Zakłada ona, że podejrzenie o ten czyn jest sytuacją, kiedy lekarz może działać w warunkach wyższej konieczności i podejmować konieczne czynności bez zgody prawnych opiekunów dziecka. Obowiązkiem lekarza jest powiadomienie o każdym przypadku podejrzenia wykorzystania seksualnego policję i prokuraturę.

Skarżypyta z urzędu

Dane Komitetu Ochrony Praw Dziecka pokazują, że w Polsce co piąta dziewczynka poniżej 15. roku życia doświadcza różnych form nadużycia seksualnego. Większość ofiar zna przy tym sprawców. 14 do 20 proc. aktów przemocy dokonywanych jest w rodzinie.

Dzięki procedurom antymolestowaniowym lekarze mogą działać w warunkach wyższej konieczności – naruszając inne procedury. Jak choćby uzyskanie zgody opiekunów prawnych dziecka na przeprowadzenie badań i leczenie w przypadku, gdyby wynikająca z tego zwłoka mogłaby zagrażać życiu lub zdrowiu, ale też grozić utratą dowodów. Stąd nakaz, by obdukcję przeprowadzić przed upływem trzeciej doby od aktu seksualnego. Im wcześniej nastąpi badanie i pobranie próbek, tym większe prawdopodobieństwo udokumentowania czynu zabronionego.

Sęk w tym, że u 60 proc. zgwałconych dzieci nie udaje się wykryć śladów uszkodzeń układu moczowo-płciowego. A wobec tego jedyną przesłanką do doniesień staje się brak hymenu. Oczywiście na studiach nawet kandydat na dentystę uczy się, że co piątej dziewczynce Bozia sama poskąpiła tego fragmentu anatomicznego. Mało tego, jak wynika z badań, kolejne 10 proc. niedziewic staje się nimi na skutek korzystania z tamponu.

Inne z kolei badania mówią, że dziewczynki odwiedzające ginekologów to promile populacji. Niezdrowo – ale nie ma się co dziwić, skoro każda wizyta nieletniej u ginekologa może zakończyć się perypetiami prokuratorsko-sądowymi. Wszak w każdym przypadku stwierdzenia współżycia przed 15. rokiem życia dziecka, lekarz musi powiadomić policję lub prokuraturę.

Seksualne swędzenie

I pal licho 13-letnie dziewczę, które ostatnio urodziło na wycieczce szkolnej w Zatorze. Bardzo pouczająca jest historia innej dziewczynki, Julii, która udała się z mamusią do lekarza. Matka dręczonej upławami nastolatki zapisała ją do pierwszego ginekologa, który był dostępny. Wizyta u ginekologa nie była dla 14-letniej Julii nowością; do tej pory korzystała jednak z porad faceta, który serwisował genitalia jej matki. Tym razem trafiła na obcą panią.

Ginekolożka zaprosiła do gabinetu obie. Zajrzała Julii do środka, spytała, czy ostatnio nie brała antybiotyków, pokiwała głową i orzekła, że jest infekcja grzybicza. Przepisała czopki i powiedziała, że gdyby po zakończeniu kuracji upławy nie ustąpiły, to zaprasza ponownie.

Julia z matką odwiedziły aptekę i po odstaniu w kolejce, ruszyły do domu zaaplikować medykament.

Przed bramą czekał na nie samochód policyjny. Mundurowi poprosili mamusię o dokumenty i szybkie podjechanie do prokuratury. Nie byli rozmowni. W przeciwieństwie do prokuratora, który powiedział, że otrzymał powiadomienie o prawdopodobieństwie popełnienia przestępstwa polegającego na wykorzystywaniu seksualnym osoby nieletniej i zgodnie z procedurami musi podjąć jak najszybciej działania wyjaśniające.

Julia odpowiedziała, że to bzdura, bo w przeciwieństwie do paru koleżanek jest dziewicą, a jej matka stwierdziła, że nie ma przesłanek, by jej nie wierzyć. Prokurator cisnął, co skończyło się na łzach dziewczyny i prośbie matki o coś w rodzaju obdukcji.

Śledczy przystał na to. Wykonał stosowny telefon i w taki sposób Julia znalazła się znowu na fotelu ginekologicznym. Tym razem ginekolog był facetem i to w dodatku rozmownym. Wypytał, wysłuchał, wypisał kwit, że dziewczyna ma zapalenie grzybicze pochwy i jakiegoś drożdżaka na zewnątrz. Drożdżak był swędzący, co spowodowało, że dziewczyna się podrapała. O molestowaniu nie może być mowy. Przy okazji wypisał receptę na krem przeciw swędzącym drożdżom.

Z dokumentem panie wróciły do śledczego. Przeczytał i zaczął się tłumaczyć, że przepisy są, jakie są, ale mają one służyć ochronie takich nieletnich jak Julia, po czym przeprosił dziewczynę za wszystkie przykrości. Matkę Julii też.

Kobieta nie zrobiła dymu. W miasteczku, z którego do Pałacu Kultury można dojechać w pół godziny, wszyscy się znają i gdyby usiłowała poskarżyć się na ginekolożkę, wybuchłby skandal, na którym ucierpiałaby Julia.

Młodociani pedofile

Raz na parę lat Polskę obiegają informacje, że uczennica podstawówki jest w ciąży ze swoim rówieśnikiem. Niusy są okraszone wypowiedziami oburzonych ekspertów, stwierdzającymi, że taką patologię należy karać z pełną surowością. Prawnicy z reguły domagają się, by chłopakiem natychmiast zajął się prokurator. Bo przecież nie może być tak, że ktoś nie poniesie konsekwencji za zbałamucenie 12-latki.

W przeciwieństwie do telewizyjnych ekspertów, prokuratura zna prawo i wie, jak takimi sprawami się zajmować. A w polskich kodeksach jest tak, że jeśli przyszli rodzice mają mniej niż 15 lat, to nie obejmuje ich Kodeks Karny. Jedyne sankcje, na jakie są narażeni, wynikają z Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Na szczęście. Gdyby bowiem prawo tworzyli telewizyjni Katoni, to siedziałby i chłopak i oczywiście dziewczyna. Wszak zmolestowała nieletniego poniżej 15 roku życia.

Dzięki niegłupiemu prawu przyszli rodzice chodzą więc do szkół, a gdy przyjdzie na świat potomstwo, to matka będzie miała zapewnione indywidualne nauczanie. A na dodatek dostaje się pod opiekę psychologa.

Gdyby jednak chłopak był od dziewczyny starszy, to trafiłby do poprawczaka za pedofilię. Polskie kodeksy nie mają bowiem zapisów, które stanowią, że jeżeli aktywność seksualna odbywa się za zgodą partnerów, a różnica wieku między nimi nie jest większa niż kilka lat, czyn taki nie stanowi przestępstwa. Tak jest w niektórych stanach USA, gdzie nie ma pedofilii nawet w sytuacji, gdy różnica wieku wynosi do siedmiu lat. W Szwajcarii, gdy różnica wieku między partnerami nie przekracza trzech lat i odbywa się za ich obopólną zgodą, czyn też nie podlega karze.

U nas kodeks karny takiego wyjątku nie przewiduje. W efekcie za seks z nieco młodszą koleżanką chłopaki załapują się na gwałty w poprawczakach. Ale o tym nie muszą wiedzieć – zmuszani do powiadamiania organów – ginekolodzy.

Rozłóż nóżki przed tatusiem

Polskie prawo stanowi, że wraz z 15. urodzinami młody człowiek nabywa zdolność prawną do kopulacji. Znaczy to tylko tyle, że wolno mu uprawiać seks i jeśli odbywa się to za obopólną zgodą, to jego partner nie będzie z tego tytułu ścigany.

Za taką ustawową dorosłością nic jednak nie idzie. W myśl Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego rodzice są zobowiązani towarzyszyć dziecku do lat 18 w trakcie konsultacji i badań medycznych. Osoby do 15. roku życia nie mają więc prawa do decydowania o swoim zdrowiu i leczeniu. Wszystkie decyzje, także o podawanych lekach, należą do rodziców lub opiekunów. W przypadku młodzieży od 15 do 18 lat zmienia się to o tyle, że wymagana jest już zgoda i rodzica, i dziecka. Przepisy nie mówią, iż zgoda rodzica musi być wyrażona osobiście, zatem lekarz może udzielić świadczenia na podstawie oświadczenia pacjenta, że rodzic się zgadza. Jednak lekarze rzadko korzystają z tej możliwości. Nie są bowiem na tyle głupi, by ryzykować proces sądowy, gdyby coś nie zagrało.

Jeśli dodamy do tego fakt, że dla ok. 80 proc. świętujących osiemnastkę dziewcząt dziewictwo jest tylko wspomnieniem, to zrobi nam się typowa polska proceduralna paranoja podlana hipokryzją obyczajową.

W praktyce ginekolodzy nie przyjmują panny, która nie ma dowodu osobistego. Nie przekona ich do tego nawet fakt, że legitymacja szkolna zaświadcza, że skończą osiemnastkę za dwa tygodnie. Ma przyjść z tatusiem lub mamusią. I czasem przychodzi. Czasem, bo populacja nastolatek pomiędzy 15. a 18. rokiem życia też występuje w gabinetach ginekologicznych w odsetku żałosnym.

Jak przyjdą, to w przypadkach dwóch na trzy rodzic zostaje z własnej woli za drzwiami gabinetu. Jak mówią lekarze, dziewczyny zadają wtedy setki pytań. Począwszy od antykoncepcji i własnej fizjologii, po techniki współżycia.

Problem robi się wtedy, gdy do gabinetu wraz z córeczką wlezie szanowna mamuśka lub tatuś. Wlezie, bo ma takie prawo. Jako opiekun prawny, czyli właściciel, stanowi wszak o wszystkim, co dotyczy dziecięcia.

Dziewica czy ladacznica

Każdy ginekolog wie, że jak w gabinecie pojawia się rodzic, to padnie fundamentalne pytanie: „Czy moja córka jest dziewicą?". Większość lekarzy zbywa to stwierdzeniem, że wszystko jest w porządku lub jak nie jest, to schorzenie nazywa się tak i tak i trzeba je leczyć w taki to a taki sposób. Niektórzy rodzice kumają, że pytanie o dziewictwo było nie na miejscu i nie ciągną tematu. Część jednak nie ustępuje. Nawiedzona religijnie lub mniej asertywna część ginekologów ulega i odpowiada. Część idzie w zaparte, informując, że wypowiadanie się o dziewictwie nie ma nic wspólnego z ich rolą terapeutyczną.

Żaden zapis prawny nie stanowi, jak ginekolog ma się zachować, gdy rodzic pyta o błonę dziewiczą. Wszystkie stanowią jednak o tym, że mamuśka lub tatusiek muszą dowiedzieć się, że córce przepisano pigułkę antykoncepcyjną. Muszą, bo to do nich należy współdecyzja, czy lekarz ma pigułkę przepisać, czy nie. Współdecyzja oznacza, że na tabletki muszą się zgodzić rodzic i córka. Jak rodzic stawia weto, to z antykoncepcji nici.

Jest zatem tak, że siedemnastka może uskuteczniać seks do woli, ale nie ma prawa sama stanowić o zabezpieczeniu. Tak samo jak o tym, czy w dość intymnej chwili rozkładania ud na fotelu ginekologicznym ma jej towarzyszyć mamusia.

Biuro Rzecznika Praw Dziecka nigdy nie widziało w tym nic niestosownego. Gdyby było inaczej, to wyszłoby z jakąś propozycją legislacyjną. Ta jednak się nie kroi. Bo prawa nastolatek, tak jak i reszty kobiet, interesują aktualną koalicję rządzącą tylko w kontekście prowokowania Andrzeja Dudy do wetowania ustaw.

TADEUSZ JASIŃSKI

Rys. JANUARY

Jak Rzeczpospolita zabrania pełnoletniemu posiadaczowi wszystkich praw obywatelskich decydowania o sobie.

Obywatel specjalnej troski

Na szafotach, stosach, palach i czym się tylko dało, kończyli wyznający niewłaściwego boga, jak i niewyznający żadnego. Panom preferującym doznania erotyczne z innymi panami przez stulecia organizowano fetę o nazwie publiczna egzekucja. Tak samo postępowano z paniami lubującymi się w innych paniach. Historia ludzkości to nieustanne pasmo zabraniania pełnosprawnym intelektualnie i emocjonalnie ludziom setek rzeczy, które innym ludziom w żaden sposób nie szkodziły. Najgorsze, że to wcale nie historia. Traktowanie obywatela jak półmózga trwa i ma się w Rzeczpospolitej Polskiej w najlepsze.

Obywatel uszlachetniony

Czasy, gdy nieudana próba samobójstwa kończyła się ścięciem, a w najlepszym razie psychiatrykiem, szczęśliwie minęły. Dziś każdy, kto ma władzę w rękach i nogach, dysponuje milionem sposobów na dobrowolne rozstanie się z tym łez padołem. Problem zaczyna się w momencie, gdy ręce i nogi odmawiają posłuszeństwa, a wszystko co pomiędzy nimi, jest bólem nie dającym się okiełznać lekom.

Mimo że wystarczy czasem tylko wyjąć ze ściany wtyczkę, dolać do kroplówki parę miligramów miłosiernej mikstury – prośby chorego zezwierzęconego cierpieniem są bezskuteczne. Nasze polskie sumienie każe mu umierać długo i nieszczęśliwie. Każda ingerencja w ten stan jest co najmniej usiłowaniem zabójstwa – jeśli nie morderstwem.

Eutanazja jest prawem obywatela już w kilku krajach. U nas słowo to nie przechodzi politykom przez usta. Konotacje historyczne, a nade wszystko kanon religijny mówiący o naturalnej śmierci, robią swoje. Rządzący odmawiają dorosłemu człowiekowi prawa do decydowania o sobie. A że tym samym decydują o skazaniu go na wielomiesięczną czasem torturę? Cóż, przecież święty papież Polak rzekł, że cierpienie uszlachetnia!

Reproduktor z mocy prawa

W cywilizowanych krajach, jak facet nie chce przedłużać gatunku, to idzie do lekarza, a ten przecina mu rurkę służącą do wyprowadzenia plemników z jąder – nasieniowody znaczy. Taki zabieg nosi nazwę wazektomii. W Polsce prawo stanowi: „kto powoduje ciężki uszczerbek na zdrowiu w postaci pozbawienia zdolności płodzenia, podlega karze pozbawienia wolności od lat 3 do 20".

Nielegalna wazektomia staje się trochę legalna dzięki stosowanemu przez prywatne kliniki mykowi prawnemu. Jeśli potencjalnie można skutki zabiegu odwrócić poprzez ponowne zszycie i udrożnienie kanalików – to chlaśnięcia nasieniowodów nie można uznać za trwałe pozbawienie zdolności płodzenia. Tę interpretację stosuje prokuratura, z reguły odmawiając wszczęcia postępowania przeciw lekarzom wykonującym w Polsce te zabiegi.

Ryzyko odsiadki na lekarzu jednak ciąży. Tak samo jak w przypadku ubezpłodnienia kobiety poprzez przecięcie jajowodów. Teoretycznie zawsze można znaleźć jakąś medyczną formułkę, która udowodni, że nie było to ubezpłodnienie, ale zabieg ratujący życie – ale świadomość tego mają nieliczni medycy. Większość obywateli RP ma wdrukowane, że nie ma prawa do decydowania o takiej formie kontrolowania własnej rozrodczości.

Ja mam 20 lat, ty masz 20 lat...

Kodeks karny stanowi, że „kto dopuszcza się obcowania płciowego w stosunku do wstępnego, zstępnego, przysposobionego, przysposabiającego, brata lub siostry, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5".

eprasa.pl 4496020dae

Ministerstwo Niepoczytalności

Prawny horror nadchodzi.

Nowemu rządowi można zarzucić wiele, ale nie bierność w bezrefleksyjnym wdrażaniu nowych przepisów. Wiceministra Sprawiedliwości Zuzanna Rudzińska-Bluszcz pochwaliła się w swoich social mediach zaawansowanym postępem prac nad zniesieniem instytucji ubezwłasnowolnienia. Rodziny opiekunów osób z niepełnosprawnością intelektualną podniosły alarm – daremnie. Zegar apokalipsy zaczął tykać.

Ministerstwo kręci loda

Do połowy czerwca ma powstać zapowiadany od dawna projekt ustawy dotyczącej likwidacji instytucji ubezwłasnowolnienia z polskiego porządku prawnego i zastąpienia jej tzw. modelem wspieranego podejmowania decyzji. Postulat wynika z przyjętej przez ONZ 13 grudnia 2006 r. Konwencji o prawach osób z niepełnosprawnościami. O wyrugowanie możliwości ubezwłasnowolnienia z polskiego prawa od lat apelowały liczne organizacje pozarządowe, a także rzecznik praw obywatelskich. Pierwsze kroki w tym zakresie podjęto już 10 lat temu, ale po objęciu władzy przez prawicę prace stanęły w miejscu. Komitet ONZ ds. praw osób z niepełnosprawnościami w rekomendacjach z 29 października 2018 r. wobec Polski zalecił m.in. uchylenie wszystkich dyskryminujących przepisów Kodeksu cywilnego i innych aktów umożliwiających pozbawienie osób niepełnosprawnych zdolności do czynności prawnych. Ponadto zarekomendował, by Polska ustanowiła procedurę umożliwiającą odzyskanie tej zdolności oraz wypracowała taki mechanizm wspieranego podejmowania decyzji, który będzie respektował autonomię, wolę i preferencje osób z niepełnosprawnościami.

W połowie lutego w Ministerstwie Sprawiedliwości pod kierownictwem Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz zebrał się Zespół ds. opracowania propozycji rozwiązań normatywnych w zakresie zastąpienia instytucji ubezwłasnowolnienia nowym modelem wspieranego podejmowania decyzji i nie oglądając się na argumenty przeciwników pomysłu, rozwalcował problem. Klamka zapadła. Niestety, ministerstwo tak skupiło się na tym, by zrobić dobrze ONZ, że totalnie oszczało opiekunów OzN (osób z niepełnosprawnością).

Szlaban

W świetle obowiązującego prawa ubezwłasnowolnieniu całkowitemu podlega osoba, która ukończyła 13. rok życia i jednocześnie na skutek choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego lub innego rodzaju zaburzeń psychicznych, w szczególności alkoholizmu i narkomanii, nie jest w stanie samodzielnie kierować swoim postępowaniem. Z kolei ubezwłasnowolnienie częściowe możliwe jest wtedy, gdy dana osoba osiągnęła pełnoletniość, wyżej wymienione powody nie uzasadniają ubezwłasnowolnienia całkowitego, ale potrzebna jest pomoc do prowadzenia jej spraw. Wszelkie działania osoby pozbawionej – jak to się ładnie nazywa – zdolności czynności prawnych wymagają pośrednictwa opiekuna ustanowionego przez sąd. Co więcej, stosuje się to bezterminowo, czyli krótko mówiąc, nie kontroluje się, czy nadal jest to uzasadnione. Wkrótce się to zmieni, jednak według zapowiedzi ustawodawca przy okazji przywracania godności niepełnosprawnym już nawet nie tyle wylał dziecko z kąpielą, co wypierdolił je wprost do Wisły.

Po wejściu w życie nowych przepisów wszyscy pełnoletni ubezwłasnowolnieni z automatu odzyskają zdolność czynności prawnych. I nie jest to dobra wiadomość.

Od dupy strony

Art. 12 konwencji ONZ o prawach osób z niepełnosprawnością (KPON) stanowi, że osoby z głęboką niepełnosprawnością intelektualną i takie, które nie mogą się komunikować werbalnie, mają zagwarantowaną podmiotowość prawną. Trudno się z tym zapisem nie zgodzić, zatem można by przyjąć, że na poziomie aksjologicznym zmiany w polskim ustawodawstwie zmierzają w słusznym kierunku przywrócenia godności i praw jednostek oraz ograniczenia pokus ewentualnych nadużyć wobec ubezwłasnowolnionych. Eksperci jednak uważają, że nowe prawo powinno się opierać na modelu prawno-człowieczym, a nie medycznym. Kiedy do jednego wora wrzuci się wszystkie rodzaje niepełnosprawności intelektualnych wraz z pozostałymi przesłankami do pozbawienia danego osobnika możliwości stanowienia o sobie – praktyczna implementacja nowego modelu stanie się sądowo-biurokratycznym horrorem. I to dla każdej ze stron.

Według planów resortu, proponowany w miejsce ubezwłasnowolnienia system wspieranego podejmowania decyzji ma być oparty o założenie, że chory – bez względu na stopień upośledzenia umysłowego – może samodzielnie decydować o swojej sytuacji. W tym celu wprowadzone mają zostać dwa instrumenty: pełnomocnictwo materialne i procesowe (skonstruowane na bazie aktualnie obowiązujących przepisów, z których także aktualnie może skorzystać każdy) oraz asysta prawna (obecnie występująca głównie w formie umownej). Osoba niepełnosprawna sama wybierze takiego asystenta prawnego, ten zaś będzie miał za zadanie wytłumaczyć jej, z czym się wiąże np. zawarcie przez nią umowy. Nadzór nad asystą ma zapewnić nadwyrężony i pełen braków kadrowych system. Co istotne, asystent ma wspierać, a nie zastępować decyzję osoby z niepełnosprawnością.

Tym samym państwo chce odejść od modelu „najlepszych interesów osoby" w kierunku realizowania jej rzeczywistej woli.

Gdyby ktoś się zastanawiał, jakiego burdelu może ten fakt narobić, wystarczy sobie wyobrazić osobę z daleko posuniętą chorobą Alzheimera zawierającą wyjątkowo „lukratywną" umowę na zakup garnków za 100 tys. zł.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Organizacje pozarządowe wyrażają bowiem pogląd, że każdy ma prawo do podejmowania decyzji, również tych chujowych – jeśli taka jest jego wola. Przy okazji tak się nieprzyjemnie składa, że Ministerstwo Sprawiedliwości najwyraźniej ma w dupie, jakich nieprzyjemności dostarczą te sytuacje najbliższym OzN.

Konsekwencje

Dotychczas w sytuacji, kiedy ubezwłasnowolniony padł ofiarą oszustwa albo nawywijał innych fikołków mających bolesne konsekwencje prawne, podjęte przez niego czynności stawały się z urzędu nieważne. Jeśli model wspieranego podejmowania decyzji wejdzie w życie w proponowanym kształcie, prawdopodobnie zwiększy się liczba postępowań sądowych dotyczących wad oświadczenia woli złożonych przez dotkniętych chorobą. Jednak jak zaznaczają prawnicy, nie zawsze da się wybrnąć w ten sposób ze skutków kiepskich wyborów. Zniesienie instytucji ubezwłasnowolnienia spowoduje, że rodziny chorych stracą możliwość ze skorzystania z jakichkolwiek środków prawnych, jeśli ich bliski sprzeciwi się podjęciu niezbędnego leczenia czy wpierdoli w maliny naciągaczy.

Orzeczenie o ubezwłasnowolnieniu to najwyższa forma ingerencji w zdolność czynności prawnych obywatela. Wydanie takiego orzeczenia to nie spacer po parku z palcem w uchu. Zanim sąd wyda ostateczną decyzję, powołuje biegłych, a samo wnikliwe postępowanie trwa od sześciu miesięcy do roku. Jednocześnie warto zaznaczyć, że już teraz na gruncie ustawy o ochronie zdrowia psychicznego nawet osoba całkowicie ubezwłasnowolniona wyraża zgodę na umieszczenie w domu pomocy społecznej lub – w razie braku zgody – jest uczestnikiem postępowania sądowego. Z jakiegoś jednak powodu państwo polskie uznało, że skoro za czteroletnie dziecko decyduje opiekun, to jest to normalne, a w przypadku dorosłego o umyśle czterolatka ma to być zakazane i może decydować on o sobie sam.

Polscy ambasadorzy dobrej woli zamiast pochylić się nad różnymi wariantami strategii, zafundują ustawę wszystkim po równo – każdemu gówno.

IDALIA DUBICKA

Kazirodztwo tymczasem niekoniecznie musi wiązać się z seksualnym wykorzystywaniem własnego nieletniego potomstwa przez tatusia alkoholika. Może być jak najbardziej przemyślaną i dobrowolną decyzją dwójki dorosłych ludzi.

Tyle że nie może, bo ustawodawcy się to nie podoba. A nie podoba się, bo tak zostało uświęcone w tradycji. Tej samej zresztą tradycji, która jest we Francji, Holandii, czy nawet Hiszpanii i Portugalii. Z tym że tam, w krajach z dokładnie tego samego kręgu obyczajowo-cywilizacyjnego co nasz, dorosła córka ma prawo zapałać pożądaniem do ojca, matki, brata, siostry, a nawet babki i pradziadka. U nas grozi jej za to więzienie.

Nasze autorytety moralne głoszą, że nie jesteśmy zwierzętami i powinniśmy się od nich odróżniać. Tymczasem właśnie zakaz kazirodztwa jest atawizmem jak najbardziej odzwierzęcym. Przedstawiciele fauny mają, w swojej znakomitej większości, instynktowne czujniki uniemożliwiające im uprawianie seksu ze wstępnymi, zstępnymi i pobocznymi.

Dla zwolenników karania osób oddających się seksualnej wersji miłości rodzinnej, najważniejszym argumentem jest możliwość spłodzenia przez taką parę osobnika obarczonego błędem genetycznym. To, że większość genetyków taki punkt widzenia wyśmiewa, nie ma znaczenia. Wbito nam w mózgi, że z kazirodztwa biorą się mutanty. I nie przemawia do nikogo statystyka twierdząca, że związki osób spokrewnionych ze sobą są płodniejsze oraz mają co najmniej czterokrotnie więcej dzieci i wnuków niż inne pary. Wśród potomków takich par jest także najwięcej stulatków.

Do przeciwników depenalizacji kazirodztwa nie przemawia też to, że problem seksu wśród najbliższych dotyka promili populacji. Dla znakomitej większości, rodzina nie jest i nie będzie poletkiem do dymania. Potwierdzi to choćby większość mężów, którzy po kilku latach małżeństwa dochodzą do przekonania, że kazirodztwem jest seks z własną żoną.

Hipokryzja towarzyska

Jeżeli jednak ktoś nie ma ochoty na własną siostrę, nie ma raka, ceni walory swojej spermy, a na dodatek ma kapitał na założenie interesu niosącego ludziom radość – to i tak jest ubezwłasnowolniony. Państwo nie pozwala obywatelom na posiadanie oficjalnych burdeli. Nieważne, że taki ktoś zna panny chętne do pracy i jest gotów zatrudnić je uczciwie, na etat: art 204 kk grozi pięcioma latami odsiadki każdemu, kto w celu osiągnięcia korzyści majątkowej ułatwia uprawianie prostytucji innej osobie. Tyleż samo wczasów za kratami grozi za czerpanie zysków z cudzego kurewstwa.

Dzięki takiemu stanowi prawnemu ktoś, kto chciałby zarabiać uczciwie na cudzej dupie, zamiast trafić pod opiekę państwa, trafi w łapy umięśnionych panów, pobierających składki za ochronę. Zamiast biznesmenem stanie się sutenerem lub kuplerem. Zamiast płacić państwu i prostytutkom, zasili budżet zorganizowanej grupy przestępczej. Zatrudnione przez niego panny nie odprowadzą wysokich zaliczek na PIT, ani składek na ZUS.

Rys. TOMASZ WIATER

Polski prawodawca umyślił sobie bowiem, że każda prostytutka prostytutką być może, ale równocześnie ma mieć umiejętności menedżerskie, marketingowe i logistyczne. A skoro tak, to żaden pracodawca jej nie jest potrzebny. Ochroniarz również.

Państwo wie przecież lepiej, że niemożliwe jest, żeby dwoje dorosłych ludzi mogło dogadać się bez przemocy co do zasad pracy w tym segmencie biznesu.

Nie szkodzi, że szkodzi

Gdy się skończy 18 lat, można poddać się legalnej psychostymulacji: kupić fajki albo pół litra. Jeśli jednak komuś dorosłemu przyszłoby do głowy nakręcanie się czymś innym, to mu nie wolno. Kokaina, amfa czy nawet marihuana znalezione przy dorosłym obywatelu kwalifikują go do natychmiastowej odsiadki.

Narkotyki są bowiem złe. Alkohol i fajki też są złe. Skoro zatem na Ziemi jest tyle zła, to dlaczego za jedno się karze, a za drugie nie? Odpowiedź znamy – bo państwo wie lepiej. A wie lepiej, gdyż jest świadome, że narkotyki prowadzą do uzależnień. Co prawda państwo wie również, że o wiele szybciej i mocniej niż koks i amfa usidlają alkohol i nikotyna, ale te ostatnie są uświęcone tradycją. A na dodatek nie powodują bezpośredniego zagrożenia śmiercią z przedawkowania.

Takie tłumaczenie to – rzecz jasna – bzdura. Papierosy i alkohol zabijają dużo częściej. Gdyby trzymać się tej logiki, to należałoby zresztą zakazać sprzedaży wszystkiego. Zeżarcie naraz 200 gramów soli kuchennej też zrobi z Polaka klienta zakładu pogrzebowego. Tak samo jak wychylenie duszkiem legalnej półlitrówki.

Co dałaby legalizacja narkotyków? Wbrew pozorom – same pozytywy. Zniknęłaby główna gałąź nakręcająca przestępczość. Ci, którzy chcieliby się naćpać, wiedzieliby, co biorą, zamiast szprycować się mieszanką narkotyku z cukrem, strychniną i tłuczonym szkłem.

Czy dzięki oficjalnemu, koncesjonowanemu i kontrolowanemu przez państwo rynkowi narkotyków wzrosłaby liczba narkomanów? Najprawdopodobniej nie. Ci, którzy odczuwają pociąg do dragów, mają je i tak w zasięgu ręki.

Szczęśliwe byłyby oddziały detoksykacyjne, bo ich personel wiedziałyby, z czym ma do czynienia. Nie kombinowałby, tak jak dziś, czy do zapaści pacjenta doszło z powodu czystej amfetaminy, czy jakiejś zmieszanej z trutką na szczury, wzbogaconej środkiem ochrony roślin.

O korzyściach legalizacji narkotyków dla budżetu nie ma nawet co wspominać – jak też o tym, że uwolniona od konieczności ścigania narkobiznesu policja mogłaby zająć się czymś innym.

Plusem zaś dla posiadacza dowodu osobistego byłoby to, że dostałby prawo wyboru. Przyrodzone ponoć obywatelowi w państwie demokratycznym.

Przestałby być traktowany przez polityków jak gówniarz, bo dostałby prawo do popełniania głupot na własny rachunek – czyli prawo do bycia odpowiedzialnym.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 4496020dae

W kraju atomu i smrodu

Niepolityczna korespondencja z państwa, gdzie trwają właśnie największe wybory świata. Zaczęły się 19 kwietnia, skończą 1 czerwca; głosuje 968 milionów ludzi.

Trzeci rok z rzędu Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) doniosła, że największym państwem na planecie są Indie. Są różne standardy mierzenia wielkości, ale liczba ludności jest bezwzględnie kluczowa. Nie PKB, nie powierzchnia, nie dochód narodowy. W cywilizacji ludzi to ludzie są najważniejsi.

W Indiach żyje 1 mld 417 mln osób posługujących się mniej więcej tym samym językiem. W każdym razie mówiących w dialektach, które są między sobą zrozumiałe. Indie są też największym krajem mówiącym w języku angielskim. Anglojęzycznych jest tu więcej niż w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii traktowanych razem.

1,42 mld jest to populacja dwukrotnie większa niż liczba mieszkańców Europy. Większa niż mieszkańców Afryki. 2,3 raza większa niż w całej Ameryce Północnej. Trzy razy większa niż liczba ludności Ameryki Południowej. Indie są supermocarstwem posiadającym broń atomową. Każdy Hindus każdego dnia budzi się dwa razy: rano i po sjeście (bapna) z przeświadczeniem, że jest członkiem największej jednorodnej (mniej więcej) wspólnoty człowieczej na świecie. Perłą w koronie Imperium Brytyjskiego. Ciekawe, ilu Polaków wie, kim jest i jak nazywa się premier Indii.

Mały może więcej

Ten sukces populacyjny w gruncie rzeczy jest wielce zagadkowy, albowiem 35 proc. Hindusów przed 40. rokiem życia to impotenci (żadna populacja nie może poszczycić się tym rezultatem). Powyżej tej granicy wiekowej zjawisko jest jeszcze szersze.

Wysoka dzietność (prawie czworo dzieci na rodzinę) wiąże się z dużym pokrewieństwem. Na danym obszarze zamieszkuje wielu osobników będących posiadaczami bardzo podobnych genów. Mniej więcej 16 proc. małżonków jest ze sobą blisko spokrewnione lub spowinowacone. Najwyższy stopień powinowactwa w związkach na świecie. Dlatego odsetek niemowląt rodzących się z jakąś wadą genetyczną wynosi w Indiach 87 na 1000 urodzin. Również najwyższy na świecie. Spacerując po Delhi każdego dnia, napotkasz osobę z jakąś wadą budowy. Brak ręki, cztery palce u stopy, sześć palców dłoni, rażąco krzywe uzębienie. Dla człowieka z Europy są to deformacje zauważalne. Zapadające w pamięci tak, że wydaje się, iż wszyscy Hindusi rodzą się z jakimś defektem.

Nadzwyczajna dzietność jest odwrotnie proporcjonalna do wielkości przyrodzenia. Hindusi są największą populacją z najmniejszymi penisami na kuli ziemskiej. Uśredniony rozmiar członka wynosi 3,9 cala czyli 9,9 cm (chyba we wzwodzie, tak sobie myślę). Mniejsze genitalia mają tylko Koreańczycy.

Wbrew światowej tendencji, której kierunek wyznacza wzrost przedstawicieli naszego gatunku, badania antropometryczne dokonywane przy okazji rekrutacji do służby wojskowej wykazują, że Hindusi nie rosną. Od dwudziestu kilku lat średni wzrost wynosi 170 cm, kiedy na przykład w Niemczech podniósł się o 8 cm do 181 cm.

Nie ma problemu otyłości. Zdarza się ona raczej rzadko. Osobników o tak zwanej masywnej budowie ciała w zasadzie się nie widuje. Przeciętny Hindus waży 70 kg. Jest raczej wątłej budowy. Spójrzmy na osiągnięcia sportowe tego ogromnego narodu. Na światowych igrzyskach olimpijskich przedstawiciele tej gigantycznej populacji zdobywają mniej więcej 35 medali w tym 10 złotych. Na paraolimpiadach (dla niepełnosprawnych), które odbywają się równolegle i w podobnych dyscyplinach, Indie wygrywają średnio 200 medali w tym 75 złotych.

Smród

Po opuszczeniu hali przylotów i wydostaniu się do atmosfery ziemskiej uderzające są: hałas, smród, wilgotność i upał – 40 stopni. Cóż, maj w ogóle nie jest najlepszym miesiącem na zwiedzanie tego pięknego kraju. Niemieccy emeryci przyjeżdżają tu zazwyczaj w lutym.

Smród nie jest z tych, które powodują torsje. Umysł się do niego przyzwyczaja po 40 minutach. Jadąc ulicą, nagle znajdujesz się w zapachu kuchennym, potem czujesz zgniliznę. Przy kolejnym bloku nurzasz się w aromacie odpadów, za kolejnym zakrętem jest to woń ekskrementów. Kiedy wrócisz wieczorem na spoczynek, okazuje się, że pokój śmierdzi jakimiś drażniącymi oparami detergentów.

Miasto hałasuje przez całą dobę. Na każdej ulicy coś się buduje lub rozbiera przy użyciu młotów pneumatycznych, szlifierek i wiertarek. Mijając te place robót, nie wiesz, czy jest to budowa czy rozbiórka. Stopień zaawansowania prac jest taki sam. Ekipy pracują bez przerwy. Przez całą dobę jeżdżą riksze i taksówki, które – jak można się zorientować – mają nakaz używania sygnałów dźwiękowych. Uber, który wiezie mnie 7 km z lotniska do hotelu, trąbi w niezrozumiałych okolicznościach i z niejasnych powodów 16 razy. Umysł przyzwyczaja się do jazgotu mniej więcej po trzech dniach. Przestajesz go słyszeć.

Do temperatury nie przyzwyczajasz się nigdy. Spocony i pokryty kurzem jesteś zawsze. Zmyć całkowicie się tego nie da. Woda jest albo jej nie ma. Każda kabina prysznicowa wyposażona jest w elektryczny bojler, którego zawartość starcza na trzy minuty kąpieli.

Brud

Indie są państwem śmieci, które zalegają na ulicach, podwórkach, w parkach i na hałdach porównywalnych z tą w Bełchatowie. Przed nowodelijskim lotniskiem na szczytach gór śmieci zainstalowano radiolatarnie, aby eleganckie Boeingi z Emiratów nie wylądowały nosem pośród butelek po pepsi i puszek po piwie. W tym mocarstwie atomowym nie udało się stworzyć systemu gospodarowania odpadami. W sytuacji, kiedy 84 proc. Hindusów zarabia 6,95 dolarów dziennie, trudno nawet zrozumieć, skąd śmieci się biorą. Przy takich dochodach można wyprodukować 30 kg odpadów na osobę rocznie. Natomiast rozmiary wysypisk stwarzają wrażenie, jakby każdy mieszkaniec Indii wytwarzał ich 30 ton.

Okołoaglomeracyjne wysypiska płoną każdego dnia. 270 milionów pojazdów spalinowych w całym kraju oraz trudny do wytłumaczenia zwyczaj palenia traw powoduje, że smog zawsze przesłania słońce. Spośród 50 najbardziej zanieczyszczonych miast na świecie 39 znajduje się w Indiach. W odpowiedzi na zapotrzebowanie na czyste powietrze powstają tu, jak u nas kebaby, bary tlenowe. Wchodzisz do hermetycznego pomieszczenia, aby za 2 euro przez godzinę pooddychać czystym powietrzem. W tych lepszych czysty tlen pochodzi z przemysłowej butli wysokociśnieniowej. W tych gorszych po prostu pracują filtry, których pompy napędzane są cuchnącymi dieslami.

Gastronomia

Jeżeli chcesz popełnić samobójstwo poprzez strawienie własnego przewodu pokarmowego i umierać w męczarniach, wystarczy skorzystać z dowolnej ulicznej jadłodajni. Potrawy są robione ręcznie przez kogoś, kto nigdy nie umył intencjonalnie rąk. Prysznic bierze raz do roku. Środki do mycia naczyń są jeszcze nieznane. Hindusi „z przyczyn kulturowych" nie używają papieru toaletowego. Po defekacji podmywają się wodą, którą noszą ze sobą w butelkach.

Ów zapach kloaczny, jak się w końcu okazuje, nie pochodzi z publicznych toalet, których w stolicy mocarstwa nie ma. Normalnym obrazkiem jest człowiek wypróżniający się do kanalizacji lub w krzakach, którego nawet specjalnie nie oburza twoje zdziwienie. W trakcie godzinnej przechadzki natrafisz na przynajmniej jednego takiego delikwenta. Jak mi tłumaczono, większość obiektów mieszkalnych wyposażonych jest w bieżącą wodę, ale nie ma zinstytucjonalizowanego odbioru ścieków. To oznacza, że nieoczyszczone szambo spływa do rzek. Według badań Światowej Organizacji Zdrowia ilość bakterii kałowych w Gangesie dwunastokrotnie przekracza dopuszczalne limity.

Hindus jest wstanie przyrządzić pożywienie z każdego rodzaju białka, a nawet – śmiem przypuszczać – z każdego związku organicznego pochodzącego od organizmów żywych, choć dawno wymarłych. Pajęczaki, węże, kora drzewa, mózg małpy, genitalia pandy, ogon szczura, oczy żaby – nie ma tu rzeczy niejadalnych. Zapewne potrafią smakowicie przyrządzić również bawełniany złom tekstylny oraz wykonane z naturalnej skóry paski do spodni.

Z wyjątkiem świętej krowy

Indie mogłyby być uznawane za największego producenta wołowiny na świecie. Jest tu 67 mln sztuk rogacizny, jednak stwierdzenie, że stanowi ona ogromny rezerwuar żywności, w tym – wegetariańskim w dużym stopniu – społeczeństwie traktowane jest jak świętokradztwo podobne do, dajmy na to, oplucia w Polsce ołtarza.

Święta krowa to ogromny potencjał ekonomiczny, ale nie gastronomiczny. Można ją wydoić. Jej odchody są podstawowym źródłem opału, buduje się z nich także domy. Z krowich placków wytwarza się środki spożywcze i higieniczne (pastę do zębów, kosmetyki do pielęgnacji skóry), ponieważ zgodnie z przekazem Ajurwedy, tradycyjnej hinduskiej medycyny, w ostatnim odcinku przewodu pokarmowego krowy zamieszkuje Lakszmi – bogini szczęścia, bogactwa i piękna, uosabiająca wszelkie powodzenie, także materialne. 77 proc. Hindusów używa produktów ajurwedyjskich zawierających krowią urynę. Z ogromnym zaskoczeniem przyjęto niedawne enuncjacje najważniejszego dziennika Indii „Times of India" (2 mln egzemplarzy sprzedawanego nakładu), że picie krowiego moczu jest znacząco szkodliwe dla zdrowia ludzkiego. Naprawdę?! – dziwili się czytelnicy. Krowi mocz używany jest tu terapeutycznie od 10 tys. lat.

Filozofia Ravika

Uruchomienie każdego urządzenia – telefonu, lampy, radia czy telewizora – jest poważnym wyzwaniem dla rachunku prawdopodobieństwa. Szanse, że nie zadziała wynoszą 50 proc. W Indiach w niezwykle prymitywnych warunkach naprawia się wszystko. Akumulatory, rozruszniki samochodowe, które w Europie dawno trafiłyby na złom, buty za 5 dolarów. Nituje się dziurawe miski, klei rozbitą ceramikę. Te góry śmieci są rezerwuarem surowców, z których wytwarza się najdziwniejsze wyroby w oparciu o fizyczną pracę ludzi. Automatyzacja nadal jest zbyt droga.

Jestem tu dlatego, że firma, która mnie wydelegowała, zakupiła *set* tak zwanego *padżetware* (pasztuńskie oprogramowanie) w bardzo korzystnej cenie, zapominając o zasadzie, że jak coś na początku jest tanio, to potem jest drogo. To gówno niestety nie działa tak jak powinno. Większość ludzi na świecie nie zdaje sobie sprawy, że to właśnie tutaj powstaje większość oprogramowania komputerowego.

Moim asystentem i przewodnikiem z indyjskiej strony jest Ravik Manohar, który zawsze wita mnie z dłońmi złożonymi jak do modlitwy i pochyloną głową. Jest to podobno najprostsza forma jogi. Jest człowiekiem, którego żadnym pytaniem nie da się wyprowadzić z równowagi.

– Powiedz, Ravik, dlaczego wy Hindusi, których cywilizacja jest nieporównywalnie starsza od naszej, macie najniższy średni poziom IQ na planecie (wynosi 76; w Polsce 96) – pytam.

– Ha! A kto te testy na inteligencje układa? Wy, biali, których logika jest zupełnie inna niż nasza – odpowiada niezrażony. – Wasze myślenie jest indukcyjne od przyczyny do skutku. Dla nas są pozorne przyczyny i pośrednie skutki prowadzące do kolejnych przyczyn w ujęciu przestrzennym, a może nawet wielowymiarowym. Dla nas ważne jest to, co jest obok, ponad i pod. Rozumiesz? Wszystko jest dla nas wykluczające się wzajemnie, ale i kompatybilne. Takie Dao. Gdybyśmy zbadali waszą inteligencję naszymi testami, też wyszlibyście na idiotów.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Być może nasz poziom higieny jest niski, a wasz wysoki – tylko do czego to was doprowadziło? Nie potraficie żyć bez prysznica i zmywarki do naczyń. Osłabiliście swoje organizmy

tak, że przyjeżdżając do Indii zatruwacie się naszym pożywieniem, które my przyrządzamy w ten sam sposób od stuleci. Nasze szpitalne oddziały gastrologii pełne są europejskich turystów, a nie ma tam żadnego Hindusa.

Kto wygrał na tym waszym postępie?

Sramy na ulicach? Rzeczywiście nie jest to nadzwyczajnie eleganckie, ale wy 100 lat temu robiliście tak samo. Ludzie przez tysiące lat załatwiali się w ten sposób. O ile wiem (Ravik studiował w Polsce), sławojki wymyślił wam jakiś generał, bo własnymi głowami byście na to nie wpadli raptem 50 lat temu. Indie nadal są państwem gorzej rozwiniętym niż Europa, ale nie są to wieki zacofania. Co najwyżej dziesięciolecia. Co tobie śmierdzi, mnie pachnie. Indie mają swoje zapachy w przeciwieństwie do waszej bezwonnej Europy. Jesteście zapachowo nijacy. Powonienie u Hindusa jest zmysłem równie ważnym, co wzrok, a wam nosy praktycznie są już zbędne.

A wiesz, czym górujemy? Dla nas śmierć jest wybawieniem, a dla was tragiczną ostatecznością. My nie boimy się umierać, a wy nie boicie się żyć. Dlatego dla was rzeczywistość jest największym skarbem, a my traktujemy ją jak wysypisko śmieci. Myślimy o niej: *maja* (złudzenie).

Indie odwiedził **ROBERT JARUGA**
robert.jaruga@doborowa.com.pl

eprasa.pl 4496020dae

Polemizuję z Wołk-Łaniewską: Trump nie jest zupełnym idiotą.

Biznesmen, nie wojownik

W opublikowanym w numerze 17–18/2024 „NIE” tekście Agnieszka Wołk-Łaniewska w dosyć przewrotny sposób wyjaśnia, dlaczego, gdyby mogła, to w najbliższych amerykańskich wyborach prezydenckich głosowałaby na Donalda Trumpa – argumentując to tym, że „im gorzej dla Ameryki, tym lepiej dla ludzkości”.

Jako konsekwentny antyamerykanista mógłbym w zasadzie podzielać ten typ rozumowania. Jednak wolę Trumpa od Bidena, kierując się nieco odmienną motywacją.

Liczyć, nie walczyć

Od psychologicznej analizy osobowości Trumpa – serwowanej głównie przez jego byłych funkcjonariuszy mających żal o to, że wypierdolił ich z roboty – ważniejsze są efekty jego rządów. Dają one bowiem asumpt do rozważań nad tym, jaka mogłaby ewentualnie być jego następna prezydentura.

W odróżnieniu od wielu innych prezydentów Stanów Zjednoczonych, Donald Trump ma sposób myślenia nie wojownika, lecz biznesmena. Priorytetem są dla niego kalkulacje kosztów i zysków oraz negocjacje – które, jak sam stwierdził, uwielbia – a nie konflikty zbrojne.

Perspektywą powrotu 45. prezydenta USA do władzy przerażony jest cały polski, nominalnie liberalny, mainstream. Drży, że Donald Trump jest za mało proukraiński i antyrosyjski, co w konsekwencji może doprowadzić do zakończenia wojny na Ukrainie i załagodzenia stosunków z Rosją. A przecież chodzi nie o zakończenie wojny, lecz o to, by Rosję pokonać na placu boju, a gdyby dało radę, to jeszcze rozczłonkować ją na małe państewka.

Taki scenariusz kłóci się co prawda z głównym argumentem na rzecz przyjęcia Ukrainy do NATO – osłabiona, podzielona Rosja, nie stwarzałaby dla niej żadnego zagrożenia – wiadomo jednak, że od przemądrzałego komentariatu nie należy wymagać logicznego wnioskowania.

Swego czasu Trump wyraził opinię, iż będąc prezydentem, nie dopuściłby do wybuchu tej bezsensownej wojny. Może tak, może nie, po fakcie można gadać, co się chce. Faktem jest jednak to, że wywodzący się z kręgów biznesowych Trump mentalnie różni się od amerykańskiego establishmentu z Joe Bidenem na czele.

Politycy często przedkładają wojowniczość ponad kalkulację – biznesmeni na odwrót. Ludzie biznesu – oprócz tych zakotwiczonych w przemyśle zbrojeniowym – nie widzą interesu w wywoływaniu czy podsycaniu konfliktów zbrojnych; ich niejako naturalną cechą jest skłonność do prowadzenia negocjacji.

Relatywny pacyfista

I takim właśnie negocjatorem był Donald Trump. Wprawdzie nie wszystkie jego starania przyniosły efekt – jak choćby mediacja w sporze pomiędzy Indiami i Pakistanem – jednak w kilku kwestiach udało mu się coś konkretnego osiągnąć. Dzięki temu zyskał sobie opinię najbardziej pokojowego prezydenta w najnowszej historii USA.

Wiceprzewodniczący Estońskiej Konserwatywnej Partii Ludowej, europoseł Jaak Madison – który w 2021 r. zgłosił kandydaturę Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla – argumentował, że Donald Trump był pierwszym od 30 lat amerykańskim prezydentem, który nie zaczął żadnej wojny.

To tak jakby notorycznemu pijusowi przyznać Złotą Odznakę Antyalkoholową za to, że nie trunkował przez trzy miesiące.

Estoński polityk podparł swój wywód twierdzeniem, iż Trump podpisał na Bliskim Wschodzie szereg porozumień pokojowych, które – twierdził Madison – pomogły zapewnić stabilizację i pokój w regionie. To niezupełnie tak. Amerykański prezydent osobiście niczego nie podpisywał, lecz dzięki swoim mediacjom doprowadził do unormowania stosunków czterech państw arabskich z Izraelem.

Czeladnik pokoju

Na mocy inspirowanej – ale nie sygnowanej – przez USA umowy znanej jako Abraham Accords, Bahrajn i Zjednoczone Emiraty Arabskie uznały suwerenność Izraela i nawiązały z nim stosunki dyplomatyczne. Z dwoma innymi arabskimi krajami – Sudanem i Marokiem – amerykański prezydent załatwił sprawę jak biznesmen, czyli po kupiecku. Sudanowi obiecał, że usunie go z listy państw sponsorujących terroryzm oraz przyzna mu kredyt w kwocie 2 miliardów dolarów. Z kolei Maroko, w zamian za uznanie Izraela, otrzymało ze strony USA oficjalne uznanie panowania nad Saharą Zachodnią, co skutecznie uziemiło dotychczasowe zabiegi Waszyngtonu na rzecz negocjacji pomiędzy Rabatem i Frontem Polisario.

Wbrew temu, co twierdzi Madison, działania Trumpa miały na celu nie tyle stabilizację Bliskiego Wschodu, co wzmocnienie Izraela jako najbardziej godnego zaufania sojusznika w regionie. Ponadto nijak się miały do „zapewnienia pokoju” – ani Bahrajn, ani ZEA nigdy nie były zbrojnie skonfliktowane z Izraelem, podobnie jak znajdujące się na kontynencie afrykańskim Sudan i Maroko.

Oprócz tych bliskowschodnich zagrywek do osiągnięć Trumpa można by też zaliczyć doprowadzenie – pod auspicjami i na terenie Waszyngtonu – do bezpośrednich rozmów przedstawicieli Serbii i Kosowa, czego następstwem było zawarcie dwustronnych porozumień w niektórych kwestiach gospodarczych i komunikacyjnych, jak również uznanie przez Kosowo dyplomów serbskich uczelni. I choć porozumienia te nie doprowadziły do przełomu w relacjach między Belgradem i Prisztiną, to w owym czasie były znaczącym krokiem w kierunku normalizacji i uporządkowania wzajemnych stosunków. I przyczynił się do tego właśnie Donald Trump. Przyznał to serbski prezydent Aleksandar Vučić, wskazując, że Amerykanom udało się skutecznie zaangażować się w sprawę, choć inni też próbowali.

Nieduże bombardowania

Oczywiście Trump nie byłby prawdziwym Liderem Wolnego Świata, gdyby nie był umoczony w różne militarne awanturki. To za jego prezydentury bombardowano Afganistan i Irak, interweniowano zbrojnie w Somalii, a Stany Zjednoczone wspierały sterowaną przez Arabię Saudyjską wojnę w Jemenie. Ponadto za jego rządów miały miejsce interwencje pośrednie w sprawy innych krajów – zwłaszcza na obszarze uważanym przez USA za swój, tj. w Ameryce Łacińskiej, zgodnie z doktryną Monroe'a.

Dwie okazały się nieudane. W Wenezueli chciano obalić prezydenta Maduro. Maduro nadal rządzi, zaś namaszczony przez Stany samozwaniec Juan Guaidó w końcu odszedł w polityczny niebyt. W Boliwii wprawdzie obalono Moralesa i zmuszono do emigracji, ale wybory wkrótce wygrała tam jego partia MAS, a na prezydenta został wybrany były minister w jego rządzie. W odróżnieniu od wielu innych – w tym „demokratycznych” – prezydentów, Trump wycofywał swoje wojska z Afganistanu, Syrii, Iraku. Zamierzał też zredukować liczbę żołnierzy amerykańskich w Niemczech – co się bardzo nie podobało polskim natoentuzjastom.

Trump, jak każdy amerykański prezydent, musiał mieć swoich wrogów. W odróżnieniu od swoich poprzedników nie wybierał sobie silnych wrogów strategicznych – jak choćby Rosja czy Chiny, z którymi nie miał ochoty prowadzić zimnej, a nawet lekko podgrzanej wojny. Wolał przeciwników relatywnie słabszych, jak wspomniana wyżej Wenezuela czy Iran. Warto skądinąd zauważyć, że obydwa te państwa są potentatami na rynku naftowym, który USA chcą mieć pod swoją kontrolą. Wrogiem była również Korea Północna – jednak do momentu, gdy Trump spotkał się z tamtejszym przywódcą Kim Dzong Unem, co wzbudziło u zachodnich (w tym oczywiście polskich) komentatorów nerwową drżączkę. Podobnie jak jego kontakty z Putinem, które wywołały w USA prawdziwą histerię, zarówno wśród demokratów, jak i republikanów.

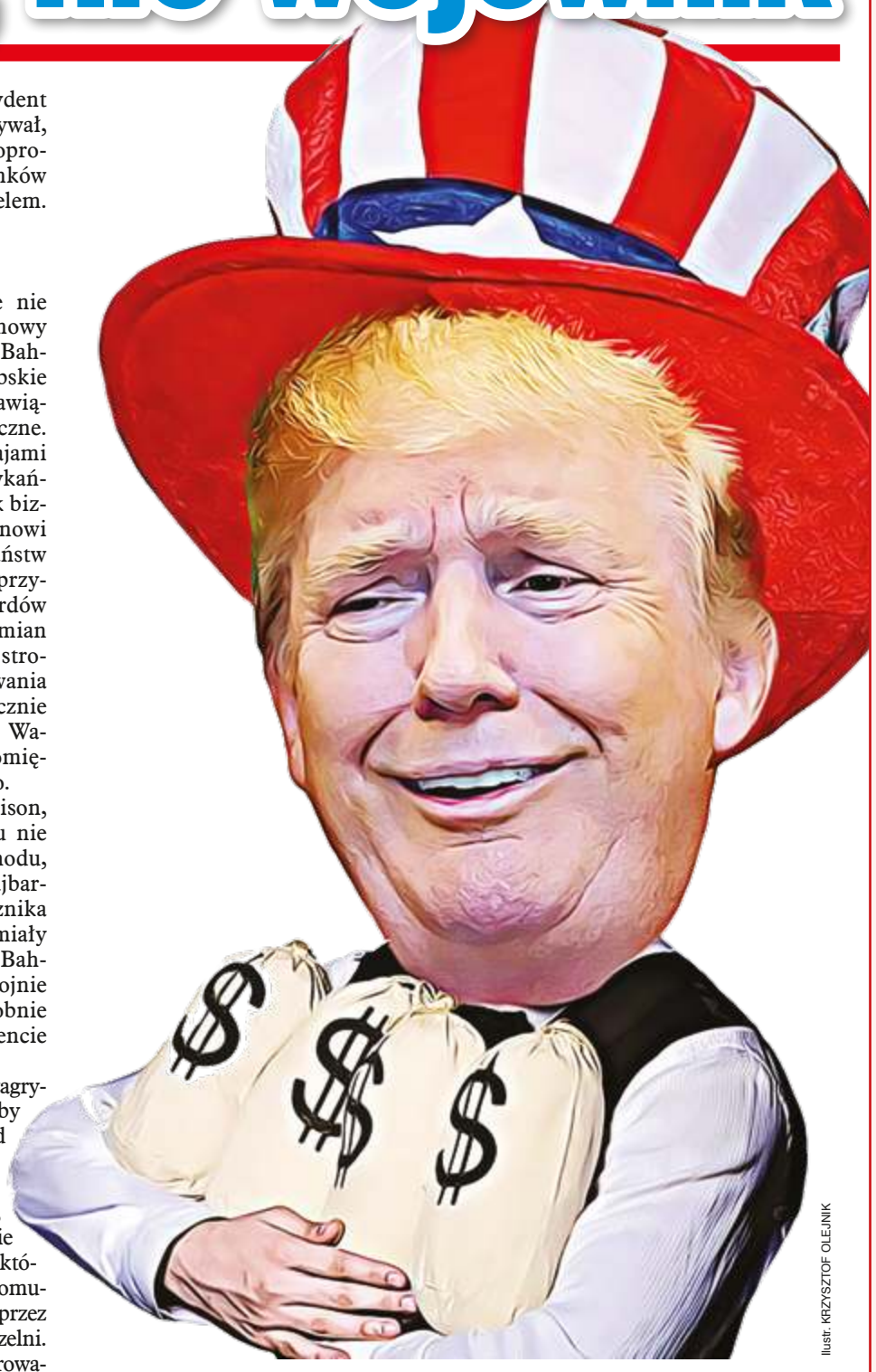

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Lider na miarę PiS-u

Trumpa należy zrozumieć, co nie oznacza, że bezkrytycznie zaakceptować. Tymczasem w kręgach PiS Trumpa się akceptuje – jednak bez zrozumienia sensu jego polityki. Jest to akceptacja na gruncie ideologicznym, a nie praktycznym. W bardzo trafny sposób ujął to na łamach „Przeglądu” Jarosław Dobrzański, który już w 2017 r. napisał, iż pisowcy ujrzeli w Trumpie ucieleśnienie obciachu, mizoginizmu, tępoty i anachronicznej konserwy.

Zachwyty nad takim wizerunkiem nie pozwalają dostrzec tego, że traktuje on Polskę w sposób instrumentalny. Dla Trumpa spotkanie z Andrzejem Dudą miało na celu nie tyle dowartościowanie Polski i jej prezydenta, co pozyskanie sobie głosów propisowskiej części amerykańskiej Polonii.

Żeby nie wyszło na to, że popierając Trumpa w jego rozgrywce z Bidenem staję po stronie PiS, jeszcze raz powtarzam: przy wszystkich swoich ułomnościach, to 45., a nie 46. prezydent USA daje większą szansę na uregulowanie konfliktu na Ukrainie. Na czym również Polsce powinno zależeć.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

WIARA CZYNI CZUBA

1. Watykan wydał nowe zasady autoryzacji cudów. Od teraz tylko papież, a nie jak dotychczas lokalni biskupi, będzie dekretował, który Jezus na toście jest nadprzyrodzony, a który wynika z przypalonej grzałki w tosterze. W dobie mediów społecznościowych rozpowszechniających z szybkością błyskawicy wizerunki Maryi w tłustej plamie na asfalcie, wytyczne z roku 1978 są ponoć „niewystarczające”, albowiem powodują „możliwość, że wierzący zostaną wprowadzeni w błąd przez wydarzenie, które jest jedynie wytworem czyjejś wyobraźni, pragnienia nowości, tendencji do tworzenia fałszu (mitomanii) lub skłonności do kłamstwa” – tłumaczy szef watykańskiego biura doktrynalnego kardynał Víctor Manuel Fernández, dodając, że nowe wytyczne „nie mają na celu kontrolowania ani (tym bardziej) tłumienia ducha”. Akuracik.

2. Kościół Lakepointe w Rockwall w Teksasie to jedna z tych monstrualnych budowli, które zajmują wielki kawał gruntu za miastem, z czego większość stanowi parking. Przed i po każdym nabożeństwie tysiące samochodów tworzą potężne korki. Do rozładowywania ich Kościół musi wzywać lokalną policję – której trzeba za to zapłacić. Przebiegli duchowni wymyślili, że dobrze byłoby mieć światła. To jednak decyzja miasta, które podejmuje ją na podstawie analizy ruchu – a w okolicy kościoła ruch jest tylko w niedzielę. Miasto nieopatrznie poinformowało parafię, kiedy będzie prowadzona analiza. Wobec czego duchowni wezwali wiernych do zapisywania się na dyżury. Jeden dyżur trwał godzinę, podczas której każdy dyżurant miał obowiązek co najmniej 10 razy przejechać koło urzędnika liczącego samochody. Wszystko dla Jezusa.

3. Katolicki portal CNA opowiada poruszającą historię Eliete Dahan dos Santos, Brazylijki, która ma dwóch bliźniaków i obydwaj są księżmi. „Wierzę, że nie ma większego bogactwa dla rodziców niż posiadanie synów, którzy są księżmi, ponieważ ksiądz, zwłaszcza gdy udziela sakramentów, jest w nich Jezusem. To coś bardzo świętego” – mówi 79-letnia Eliete, która najwyraźniej nie ma potrzeby posiadania wnuków. 51-letni Wallace i Wellington z diecezji Niterói są dla swojej matki „wielkim darem od Boga” i niewiasta nie rozumie, dlaczego inni jej nie zazdroszczą. „Ludzie bardzo się cieszą, kiedy synowie kogo innego idą na księdza, ale nie ich właśni. Ich właśni mają być lekarzami, prawnikami, ludźmi z dużą władzą”. A może nie chodzi o władzę? Może wystarczy, żeby robili coś pożytecznego, zamiast pasożytować na cudzych zabobonach?

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ 20 maja zakończyła się kadencja Wołodymyra Zełeńskiego na stanowisku prezydenta Ukrainy. Gdyby nie wojna, wybory musiałby się odbyć się do 31 marca. Gdyby się odbyły, Zełeński w drugiej turze otrzymałby 32,5 proc. głosów – wskazują sondaże.

☆ Były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego podzielił się z czytelnikami „Newsweeka” niezbitymi dowodami, że PiS to agentura Kremla: „Trwa wojna, a Morawiecki jedzie na proputinowską konferencje CPAC. Symbol CPAC to gwiazda przypominająca znak graficzny Telekanału Zwiezda, agencji informacyjnej będącej częścią sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Szukać inspiracji w czymś takim? Dla mnie to deklaracja tożsama z przekazem Orbana: Władimir, jesteśmy z tobą”. A w Panamie istnieje stacja telewizyjna TVN, co jest niepodważalnym dowodem, że Piotr Kraśko i Anita Werner są kluczowymi postaciami w aferze Panama Papers.

☆ Z drugiej flanki uderza Michał Karnowski („Sieci”): „Daleki jestem od stawiania tezy, że ta władza za chwilę się skończy. (…) Stoi za nią potężny front medialnego kłamstwa. Kibicuje jej pragnąca uczynienia z Polski uległej prowincji władza niemiecko-brukselska, trzyma za nią otwarcie kciuki dyktator Łukaszenka i bardziej dyskretnie zbrodniarz Putin. Obaj liczą na kolejny reset, są zresztą znaki, że jest on już szykowany”. Ludzie którzy wszędzie widzą znaki, na ogół lądują w Tworkach.

☆ Medialny tercet psychiatryczny wieńczy Piotr Lisiewicz z „Gazety Polskiej”: „Konfederacja od jakiegoś czasu lansuje nową twarz, którą ma być Ewa Zajączkowska-Hernik. Jako, że ma być nową jakością, pojawiła się w willi antypolskiego pachołka Moskwy, agenta mordującego Żołnierzy Wyklętych Informacji Wojskowej, by udzielić wywiadu jego córce Monice Jaruzelskiej (…) [i zachęcić] część elektoratu PiS do przejścia na stronę Konfederacji, czyli de facto ruskich. Oklepane mają te numery kacapy, niezmienne, nudne, identyczne”. To całkiem jak kolejne numery „Gazety Polskiej”.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 4496020dae

Cud nad świnią

Nowy powiew polityczny skutecznie przegonił świńskie zapowietrzenie. Naprawdę.

Czy ktoś zauważył, że w protestach producentów rolnych nic nie słychać o tym, co przez osiem lat nie schodziło z rolniczego tapetu – o postulatach związanych z afrykańskim pomorem świń (ASF) mianowicie? Bo otóż wraz z nastaniem peeselowskiego ministra rolnictwa, wirus przestał zagrażać lokatorom chlewni. Cud znaczy się stał. Choć jeszcze jesienią fachowe periodyki rolnicze pisały, że „sytuacja z ASF w Polsce pogarsza się".

W 2023 r. do krajów dotkniętych ASF dodane zostały Bośnia i Hercegowina, Grecja, Chorwacja, Kosowo i Szwecja. Zakażonych jest łącznie 20 państw członkowskich UE. W tym tak od nas odległe jak Grecja i Bułgaria. Wolne od zarazy są tylko Belgia i Czechy.

Cud nad Wisłą polega zaś na rzeczy niewiarygodnej: przy 720 tegorocznych ogniskach zarażeń na terenie Rzeczpospolitej, od ponad czterech miesięcy nie stwierdzono ani jednego ogniska choroby wśród świń hodowlanych.

Dla tych, którzy na świńskiej epidemiologii się znają, brzmi to równie wiarygodnie jak to, że Tomasz Szmydt nigdy nie współpracował z żadnymi służbami ze Wschodu.

Atak hybrydowy ryjem

Choroba objawiła się w Polsce, niemal w tym samym czasie, gdy Putin odbierał Ukrainie Krym i Donbas – w lutym 2014 r. Świnie ze Wschodu uchwyciły przyczółek przy granicy z Białorusią. Dowodzący wówczas polskim rolnictwem minister Marek Sawicki przeprowadził kontratak. Otoczył przeciwnika i przez ponad półtora roku uniemożliwił mu wyprowadzenie jakiegokolwiek manewru. Świńska enklawa składająca się z czterech nadgranicznych gmin broniła się jednak zaciekle, czekając na błąd przeciwnika.

Ten nastąpił tuż po tym, gdy po wyborach z 2015 r. ogłoszono, że zamiast Sawickiego dowódcą w wojnie z chrumkającymi hordami będzie Krzysztof Jurgiel. Z tygodnia na tydzień obrona państwa polskiego osłabła na tyle, że zapowietrzone świnie ruszyły na zachód, północ i południe. Z 83 przypadków dziczych trucheł, jakie odnotowano w czasach Sawickiego, po kolejnych 24 miesiącach zrobiło się 1213. Rekord pod względem liczby ognisk epidemii wśród dzikich świń padł w pandemicznym 2020 r., było ich wtedy 4156. Rekord ognisk wśród trzody hodowlanej miał miejsce rok później i wyniósł 124.

W ciągu pierwszych czterech lat rządów PiS zaraza zagarnęła prawie pół Polski. Od Pomorza, przez cały pas wschodni, aż po Małopolskę, by w kolejnych dwóch latach zainfekować Wielkopolskę i sforsowawszy Odrę, wedrzeć się na terytorium Republiki Federalnej Niemiec.

Trup ścielił się gęsto. Do tej pory wybito ponad tysiąc stad potencjalnych schabowych. W sztukach liczba zabitych świń dobiła do miliona.

W populacji ich dzikich krewniaków spustoszenia dokonywał nie tyle wirus, co myśliwi, którzy dostali rozkaz strzelania do wszystkich istot kudłatych i chrumkających. Od kul padło w latach 2016–2018 ponad milion osobników. Przez kolejne sześć lat, następne dwa miliony.

Na wojnie – tej z zarazą również – najważniejsze są pieniądze. Te zaś szły w setki milionów złotych. Głównie na odszkodowania dla właścicieli wybijanych stad. I oczywiście na to, żeby taki rolnik mógł się szybko przebranżowić. Beneficjentami budżetu wojennego były też oddziały przeprowadzające pacyfikacje dzików. Każdy zabijający włochatą świnię mógł liczyć na kilkaset złotych. Nie wspominając o darmowym wsadzie do lodówki. A to dlatego, że zabijane dziki były w zdecydowanej większości zdrowe. A nawet, gdyby były w początkowym stadium choroby, to zjedzenie ich mięsa człowiekowi by nie zaszkodziło, bo wirus ASF dla ludzi jest niegroźny.

Drang nach westen

Gdy zaraza opanowywała Polskę, eksperci głowili się, dlaczego idzie jej tak szybko. Wygłówkowali, że powodem jest chłopolubność wykazywana przez PiS. Wcześniej, Sawicki przystopował wschodnią zarazę żelazną ręką. Na front wysłał fachowców i kontrolerów. Mieli oni sprawdzać, czy hodowcy stosują się do zasad pola walki. Czyli, przede wszystkim, higieny niemal takiej, jak wymagana w laboratoriach, gdzie badacze mają kontakt z zarazkami dżumy czy wąglika.

W języku walczących ze świńskim pomorem nosi to nazwę bioasekuracji i sprowadza się do niedopuszczenia wirusa w pobliże chlewni – stąd zmiana i dezynfekcja obuwia, ubrań, rąk i rękawiczek, a nawet samochodów. Nie wspominając już o tym, że do chlewni nie mogą włazić osoby postronne i niezdezynfekowane.

W ciągu kilkunastu miesięcy powstrzymywania przez Sawickiego ekspansji wirusa, kontrolowano nawet, czy z zapowietrzonych okolic nie przenikają do świata wolnego od ASF zakażone kanapki, czy inne trefne żarcie. Na granicach stref stały bowiem posterunki i specjalne kosze na wszystko, co mogłoby przenieść zarazę, infekując grasujące na zewnątrz strefy dzikie świnie.

Rys. HENRYK CEBULA

Zarówno Jurgiel, jak i jego następcy uznali, że polski rolnik nie może być poddany takim nieludzkim obostrzeniom i wszystko to olali. Spadł nacisk na kontrolę stad. Myśliwym za odstrzały zaczęto płacić mniej i nawet przestano ich cisnąć, aby zabijali dziki. A równocześnie wzrosły odszkodowania dla rolników, którym trzeba było wybić stada. Nic zatem dziwnego, że wielu z nich bardziej opłacało się zorganizować epidemię, niż coś hodować. Średni koszt likwidacji jednej świni wynosił prawie 600 zł. Zabijane świnie, państwo brało na pniu i nie trzeba się było targować.

Efekt był taki, jak można się było spodziewać – co udowodniła przedbasiowa NIK, robiąc kontrolę przestrzegania przez rolników zasad bioasekuracji. Wyszło jej, że trzy czwarte producentów wieprzowiny ma procedury gdzieś. A wszystkich zasad przestrzega ledwie 6 proc. hodowców trzody chlewnej.

Gdy więc ASF dotarł do Wielkopolski, zrobiło się niefajnie. W końcu pochodzi stąd co trzecia polska świnia.

Mercedes nie świnia

Jeszcze poważniej zrobiło się parę lat temu za Odrą. Niemieckie świnie to 22 proc. produkcji unijnej. A ich hodowle, 2,5 raza większe od naszych, dawały 5,4 mln ton rocznie eksportowanej poza UE wieprzowiny, która musiałaby w przypadku ASF być objęta embargiem. Niemcy odstrzelili więc niemal milion swoich dzików i postawili na granicy z polską zapory pod prądem. Tyle że wzdłuż granicy naszego województwa zachodniopomorskiego. Znaczy daleko od zarażonych polskich świń.

Pierwszy w Niemczech przypadek wirusa, stwierdzony we wrześniu 2020 r., wykryto u dzika blisko granicy z Polską. Kolejne dwa przypadki pojawiły się w oddalonych od siebie punktach, ale na terenie bliskiej Polsce Saksonii. Od tamtej pory dziki rozniosły zarazę po lasach i chlewniach byłej NRD. Republice Federalnej nie udało się zrobić tego, co wyszło Czechom i Belgii; krajom wolnym od ASF.

Czechy pozbyły się zarazy dzięki skutecznemu wybiciu dzików w strefie zakażenia. Kraj ten oficjalnie uznany jest za wolny od ASF od lutego 2018 r. Belgia w 2019 r. miała ok. 850 zarażonych dzikich świń. Po paru miesiącach żadnej ofiary afrykańskiego pomoru już tam nie stwierdzono, kraj stał się wolny od afrykańskiego pomoru świń i eksportuje swoją wieprzowinę wszędzie, gdzie jej zapragną. Czego nie mogą powiedzieć na przykład Niemcy. I właśnie w kwestii eksportu wieprzowiny pofatygował się parę tygodni temu do Pekinu kanclerz Scholz. Jakkolwiek głupio by to nie brzmiało, nie szło mu ani o mercedesy, ani BMW, ani nawet o eksport niemieckich maszyn do robienia maszyn, ale o to, żeby Xi Jinping nie czepiał się tego, że gdzieś w Niemczech jest świńska zaraza i pozwolił niemieckiej szynce trafiać do chińskich sklepów.

Afrykański pomór świń jest chorobą znaną od dziesięcioleci. Badania nad szczepionką prowadzi się więc w wielu krajach. Chińczycy i Amerykanie parę lat temu ogłosili, że ją mają. Ci pierwsi nikomu jej nie pokazali. Zaś ci drudzy nieustająco przygotowują się do wprowadzenia jej na rynek. To zaś dlatego, że wolnym od ASF Stanom Zjednoczonym nie opłaca się eksportować szczepionki, która spowoduje, że opłacalność amerykańskich hodowli świń znacznie spadnie, bo jakiś Trzeci Świat pozbędzie się zarazy, a wraz z nią embarga na swoją tanią wieprzowinę.

Cudotwórca z PSL

Przez kolejne lata każdy kawałek Polski zainfekowany afrykańskim pomorem świat witał zakazami importu polskiej wieprzowiny. Umarły sny o potędze na chińskim rynku, na który szło ponad 52 tys. ton polskiej świniny. Zabroniono ją też wpuszczać do Stanów, Kanady czy Hongkongu. O Rosji czy Ukrainie nie wspominając. Byliśmy postrzegani jako kraik, który nie potrafi sobie poradzić z mocno nieinteligentnym wirusem. Spadek eksportu zaowocował – rzecz jasna – spadkiem cen skupu o jedną piątą.

Jeszcze rok temu Polska była obsiana spłachetkami stref ochronnych – zapowietrzonych i zagrożonych. Najprościej mówiąc, tereny te po prostu były objęte kwarantanną. Hodowcy świń z takich obszarów nie mogli przewozić zwierząt, co w praktyce uniemożliwiało ich sprzedaż. Organizacje rolnicze walczyły, by wojewodowie choć zgodzili się na wykonanie testów u świń. Czasem się udawało. Badano tysiące świń i dla ponad 90 proc. z nich wynik był zadowalający, bo co prawda i tak szły na rzeź, ale przynajmniej trafiały do garnków. Te, u których stwierdzano wirusa, były ubijane wraz ze zdrowymi zwierzakami z danej hodowli, a ich mięso ponoć utylizowano. Zgoda na takie badanie pozwalała hodowcom więc na tyle, że ich produkcja ze stref ochronnych – wciąż objęta zakazem eksportu – była możliwa do sprzedaży producentom krajowym.

Oczywiście po cenie niższej niż wieprzowina z innych rejonów. Z tego powodu rolnicy cisnęli władzę, by strefy ochronne znieść. No i miłująca producentów władza strefy likwidowała, acz wolno. Okraszając to komunikatami pokazującymi, że chlewnie w kolejnych rejonach są już wolne od ASF.

Przy nowej władzy, wolność od ASF przyspieszyła. Teraz, choć dziki chorują na ASF na potęgę, mamy tylko trzy obszary czerwone: w wielkopolskim, warmińsko-mazurskim i lubelskim. Fachowcy od bioasekuracji uznają to za cud. Nie wierzą bowiem, że nagle hodowcy świń zaczęli przestrzegać wszystkich zasad higieny. Bo nawet gdyby peeselowski minister rolnictwa Czesław Siekierski był zdeterminowany w walce z ASF, jak niegdyś jego partyjny kolega, to nie ma siły, by w ciągu paru miesięcy dorobił się tak nieugiętych kontrolerów, jakich miał Sawicki 10 lat temu.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ St. asp. Bernadeta Pytel z policji w Oleśnicy poinformowała, że trzy psy rasy american bully chciały zagryźć jadącą drogą na rolkach 26-latkę. Ofiara jeszcze żyje w szpitalu, ale jej stan nie jest stabilny. Sytuację psów pogarsza, że ich właściciel w trakcie incydentu był pijany, a nie powinien. Psom grozi śmierć przez uśpienie ze strzykawki weterynarza. Właścicielowi – pięć lat więzienia za stworzenie zagrożenia dla zdrowia i życia człowieka pod warunkiem, że pogryziona przeżyje. Jeżeli nie, to może wyjść z pierdla za 20 lat.

▮ Ministerstwo Finansów podało, że największy dochód podatkowy na jednego mieszkańca jest w województwie mazowieckim. W obecnym roku wynosi ponad 1030 zł miesięcznie. Najbiedniejsze województwo to warmińsko-mazurskie, gdzie ów dochód oscyluje w okolicach 231 zł. Świadczy to o nadmiernych dysproporcjach w standardzie życia. Biorąc pod uwagę jedynie wskaźniki finansowe, np. PKB, standard życia na Warmii i Mazurach porównywalny jest z tym w Republice Namibii, państwie w południowo-zachodniej Afryce. Najbogatszym powiatem w Polsce jest miasto stołeczne Warszawa. Na mieszkańca dochód wynosi tu ponad 1200 zł.

▮ Rzadki egzemplarz Orderu Virtuti Militari wykonany ze złota, wybity z oryginalnej matrycy, wystawiono na sprzedaż w niemieckim domu aukcyjnym Andreas Thies EK. Virtuti Militari został ustanowiony przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego dla uczczenia zwycięstwa nad wojskami rosyjskimi interweniującymi w Polsce na rzecz konfederacji targowickiej przeciwko Konstytucji 3 Maja. Był najwyższym odznaczeniem wojskowym w Polsce przez 227 lat. Zmieniły to rządy Prawa i Sprawiedliwości, które w 2019 r. najwyższym odznaczeniem uczyniły Order Krzyża Wojskowego. To wiązało się, m.in. z utratą przywilejów finansowych, jakie posiadali odznaczeni orderem Virtuti Militari. Kaczyński zwalczał Virtuti, utrzymując, że odznaczonych nim zostało zbyt wielu komuchów. Egzemplarz w posiadaniu Niemców wystawiono za cenę wywoławczą 20 tys. euro.

▮ W Garwolinie policja zatrzymała kierowcę, który miał minus 35 lat. Funkcjonariusze doszli do takiego przekonania, analizując jego prawo jazdy, z którego wynikało, że urodził się w roku 2059. Dokument wydany został przez władze Nepalu, a tam wiele rzeczy i spraw jest możliwych, które u nas są nie do wyobrażenia. Lewitacja, bilokacja, psychokineza. Nie jest więc wykluczone, że można i żyć przed urodzeniem. Na razie jednak miejscowa prokuratura uważa, że dokument jest fałszywy. O wynikach śledztwa będziemy informować.

▮ W Kielcach 13-latek ukradł matce samochód marki Kia, którym ruszył w miasto. Zignorował ograniczenie prędkości do 50 km/h, jadąc 150 km/h. Potrącił przy okazji policjanta, który usiłował go zatrzymać. Dyżurny kieleckiej komendy utrzymuje, że to: „nieciekawy początek kariery za kierownicą". Zupełnie się z tą opinią nie zgadzamy. To bardzo ciekawy początek, dlatego właśnie informują o nim media. Kto by na przykład przypuszczał, że jakaś Kia rozpędzić się może do 150 km/h?

▮ Szwajcarski koncern elektryczny ABB, który w 2008 r. pobudował fabrykę niskonapięciowych silników elektrycznych w Aleksandrowie Łódzkim, wygasza w niej produkcję „w związku ze zmieniającą się dynamiką rynku oraz sytuacją geopolityczną". Zatrudnienie straciło 400 osób. Produkcja ma być przeniesiona do Chin, gdzie tańszy jest prąd i surowce, a robotnicy mniej wymagający.

▮ Ponad 800 tys. zł zapłaciło Centralne Biuro Antykorupcyjne za dwa SUV-y marki BMW. Napęd na cztery, 350 kucyków pod maską, trójstrefowa automatyczna klimatyzacja, czujniki oraz asystent parkowania. Rzeczniczka biura, na pytanie, dlaczego kupowane są tak drogie pojazdy dla służby, która ma być zlikwidowana, nie powiedziała, że to dlatego, iż policjanci nie mogą jeździć gorszymi samochodami niż bandyci, bo byłoby to upokarzające i ujmujące dla ich służby. Ale tak właśnie pomyślała.

▮ Ten karabin snajperski BOR kal. 7,62 mm, który został zgubiony podczas ćwiczeń 7. Brygady Wojsk Obrony Terytorialnej z Tczewa został odnaleziony. Znalazł go 11-letni chłopiec, który w asyście matki udał się na komendę powiatową, aby broń zwrócić. Obecnie policja sprawdza, czy czasem znalazca karabinu go nie ukradł. Yhm?! Lepiej przyznać się do zguby, czy że zostało się okradzionym przez szczeniaka? Chyba jednak w pierwszym przypadku dyshonor byłby mniejszy.

▮ Natomiast na granicy polsko-białoruskiej bliżej niezidentyfikowany osobnik ukradł żołnierzowi 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej radiotelefon, który ten miał przytroczony do kuloodpornej kamizelki. Złodziej zaatakował ze strony białoruskiej, przekładając ręce między przęsłami zapory. Potem nawet nie musiał uciekać, bo kradnącego i poszkodowanego dzieliła solidna graniczna krata. W naszej cywilnej percepcji to tak jakby polskie siły zbrojne pozbawione zostały męskości.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej całej Polski. A zatem mogą być o prawdę odchudzone (wiadomo, inflacja). Należy unikać wyciągania z nich wniosków generalnych, a także prawnych.

eprasa.pl 4496020dae

Rys. WIDGET

Od Ruchu Chorzów do Aston Villa

Dziennikarz sportowy nie powinien być kibicem. Ale to tylko teoria.

Uczono mnie, że zadaniem dziennikarza sportowego jest chłodne analizowanie wydarzeń na arenach. Poddawanie się emocjom szkodzi obiektywizmowi. Kibicowanie jakiemuś klubowi to już niemal wykroczenie. Przecież każdy, nawet najmniejszy klub, ma swoich zwolenników i trzeba ich szanować.

Jak to często się zdarza, praktyka mija się z teorią. Trudno tkwić w sporcie i nie mieć jakichś sympatii. Postaram się o tym opowiedzieć na własnym przykładzie.

Obiektywizm nieortodoksyjny

Od razu zaznaczę: nie jestem kibicem piłkarzy warszawskiej Legii, a o to właśnie podejrzewani byli wszyscy stołeczni dziennikarze sportowi przez kolegów z innych krajowych ośrodków. Do dziś nie jestem kibicem żadnego z naszych ligowych klubów. Owszem, podczas studiów, gdy dopiero marzyłem o zostaniu żurnalistą, z grupką kolegów trzymaliśmy kciuki za Ruch Chorzów, potrafiliśmy nawet jeździć na Śląsk na mecze tej drużyny. Ale co to był za Ruch! Z Edwardem Hermanem i Eugeniuszem Faberem na skrzydłach, z Zygmuntem Maszczykiem w pomocy i Antonim Piechniczkiem w obronie. Było na co patrzeć.

Trzymam w pamięci niemal cały skład tamtego Ruchu, choć upływające lata i początki sklerozy nie powinny temu sprzyjać. Dzisiejszemu Ruchowi oczywiście już nie kibicuję, podobnie jak wszystkim polskim klubom piłkarskim. Cenię ich zagorzałych sympatyków, którzy przenoszą swoją miłość z pokolenia na pokolenie, darzę szacunkiem tradycję, ale oburzają mnie chuligańskie burdy ultrasów, bardziej podobnych do bandytów niż kibiców.

Gdy udało mi się zostać najpierw wolontariuszem, a później stażystą w „Przeglądzie Sportowym", starsi koledzy szybko sprowadzili mnie na ziemię: kibicowanie jakiejkolwiek drużynie jest w firmie surowo zabronione, a jego przejawy będą tępione przez kierownictwo. Im dłużej pracowałem w tej branży, tym bardziej przekonywałem się, że teoria z praktyką się rozmijały. Prawie każdy miał jakieś tam ciche sympatie.

Wybitny dziennikarz i zastępcaw red. naczelnego „Przeglądu Sportowego" Jerzy Zmarzlik prawie nie skrywał przywiązania, jakim darzył klub Zagłębie z rodzinnego Sosnowca. Zmarzlik nie pisał o piłce nożnej, był wielce szanowanym specjalistą od sztuk bokserskich, jako członek kierownictwa gazety miał jednak wpływ na wszystko, co drukowano. Biada początkującemu dziennikarzowi, jeśli w tekście nazwał Zagłębie Sosnowiec śląskim klubem. Natychmiast otrzymał od red. Zmarzlika wygłoszony podniesionym głosem wykład o tym, czym różni się Górny Śląsk od Zagłębia Dąbrowskiego. Niechęć „goroli" do „hanysów" utrzymuje się chyba do dziś, co jest jednym z absurdów naszej ojczyzny; na szczęście nie najważniejszym.

Co innego kluby, co innego reprezentacja. Wszyscy trzymaliśmy kciuki za biało-czerwonych, niezależnie w jakiej dyscyplinie startowali. Tu także należało, choćby pozornie, zachowywać obiektywizm, ale powiedzmy sobie szczerze, było to bardzo trudne,

bo przecież w jakiś sposób utożsamialiśmy się z tymi, którzy w naszym imieniu przystępowali do rywalizacji. Byłem więc kibicem naszej reprezentacji piłkarskiej, lubiłem ją, podziwiałem, niektórych reprezentantów poznałem osobiście, ale z nikim się nie zaprzyjaźniłem, z tego prostego powodu, że głównie wysyłany byłem na wyścigi kolarskie i tam rzeczywiście nawiązałem bliższe znajomości.

Internacjonalizm bezobjawowy

Do dziś zastanawiam się, czy był naruszeniem etyki zawodowej fakt, że jednych kolarzy lubiłem bardziej, innych mniej, a z niektórymi, jak choćby z Czesławem Langiem pozostawałem – mogę otwarcie powiedzieć – w bliskiej przyjaźni. Ówczesnych wyścigów nie transmitowała telewizja z kamer na motocyklach, oglądało się peleton z okien samochodów, w dużej mierze skazani więc byliśmy na to, co opowiedzą nam kolarze. Przydawały się bliskie znajomości.

Nigdy nie zapomnę grzeczności wyświadczonej mi przez kapitana polskiej drużyny na Wyścigu Pokoju, Marka Szerszyńskiego. Podczas jednego z etapów ciężko zatrułem się w Czechosłowacji knedlikami w podejrzanym pikantnym sosie. Na domiar złego – a nie było to u mnie regułą – nie popijałem tego dnia alkoholu, co być może złagodziłoby objawy zatrucia. Byłem tak osłabiony, że nie miałem siły wysiadać z samochodu. Marek odszukiwał mnie na parkingu i zdawał sprawozdanie z etapowych wydarzeń, żebym miał o czym pisać. Trwało to dwa dni.

Marek Szerszyński miał tego pecha, że startował w czasach największych sukcesów naszego kolarstwa. Ryszard Szurkowski, Stanisław Szozda, Tadeusz Mytnik, Janusz Kowalski, Jan Jankiewicz, Mieczysław (Mundek) Nowicki… Który z kibiców miał głowę, żeby pamiętać o Szerszyńskim? A na sukcesy gwiazd pracował właśnie Marek, który jak żaden chyba inny polski szosowiec potrafił rezygnować z własnych ambicji na rzecz kolegów.

Kibicowałem polskim kolarzom, ale proszę wierzyć, starałem się w tym, przynajmniej na łamach, zachować jakiś umiar. Kolarze to tacy ludzie, do których zawsze trzeba mieć szacunek, niezależnie od koloru koszulki, którą noszą.

Za komuny mieliśmy do czynienia z dziwnym zjawiskiem. Niby obowiązywał w naszym bloku jakiś bliżej nieokreślony internacjonalizm, ale w rzeczywistości wszystkie demoludy zalatywały na kilometr nacjonalizmem. Obserwowałem pracę i słuchałem wypowiedzi kolegów z bratnich krajów. Wychwalali pod niebiosa swoich (też to robiłem), ale na rywalach wieszali psy, często ich obrażając. Tego starałem się nie czynić i chyba udawało mi się zachować granice przyzwoitości.

Czy emeryt, coraz bardziej przykuty przez chorobę nóg do fotela stojącego przed włączonym telewizorem, nie ma prawa być kibicem? Teraz mogę sobie pozwolić na wiele więcej, niż dawniej. To jeden z przywilejów starości. Zmieniło się więc moje kibicowanie.

Nie, nadal nie kibicuję warszawskiej Legii, a niezdarny sposób zarządzania tym klubem nawet mnie rozśmiesza. Zaimponował mi Raków Częstochowa, a teraz jestem pod wrażeniem gry Jagiellonii Białystok, ale bardzo daleko mi do noszenia szalika w tych barwach. Trzymanie kciuków za reprezentację okazuje się zbyteczne, bo w niczym to nie pomoże. Podczas zbliżających się mistrzostw Europy nasza narodowa drużyna nie wyjdzie z grupy eliminacyjnej.

Bezczelność zatracona

Wolę patrzeć na zagraniczne ligi, a na angielską oczywiście najchętniej. I w Premier League mam właśnie klub, za który mocno trzymam kciuki: to Aston Villa. Od kiedy jestem kibicem klubu z Birmingham? Już od dość dawna. W każdym razie od czasów, gdy reprezentant Polski Matty Cash chyba jeszcze nie wiedział, że jest Polakiem i w przedmeczowej grafice prezentowano go jako Anglika.

Ktoś powie: łatwo ci kibicować Aston Villi, gdy klub sprawił olbrzymią niespodziankę na najwyższym poziomie rozgrywek ligowych w Anglii. Po blisko półwieczu awansował do Ligi Mistrzów. (Żeby być dokładnym, do Ligi Mistrzów awansował po raz pierwszy, wcześniej turniej nazywał się Puchar Europy Mistrzów Krajowych i to trofeum mój ulubiony klub zdobył w 1982 r., po zwycięstwie w finale 1:0 z Bayernem Monachium). W tym miejscu wypada zaznaczyć, że Aston Villa jest jednym z najstarszych i najbardziej utytułowanych klubów w Anglii, w gablocie szczyci się dwudziestoma najważniejszymi w futbolu trofeami, ale większość z nich zdobył przed II wojną światową. Tego z oczywistego powodu nie mogłem oglądać.

Później Aston Villa pałętała się na niższych szczeblach rozgrywek i wpadła mi w oko w 2019 r., gdy po sezonach spędzonych w Championship awansowała do najwyższej klasy rozgrywkowej. Od razu ich polubiłem. Podobają mi się drużyny piłkarskie, które – jeśli można tak powiedzieć – grają do przodu. Niestety, wiele zespołów, nawet tych najlepszych, główną uwagę przywiązuje do zabezpieczania swojej bramki. Dewizą trenerów stało się powiedzenie, że dobry skład buduje się zaczynając od obrony.

Ujął mnie sposobem bycia i swoją historią trener Dean Smith, wcześniej przeciętny piłkarz w przeciętnych drużynach. Ważny, przynajmniej dla mnie, jest pewien szczegół jego biografii. Z Aston Villą trener Smith związany był rodzinnie. Jego ojciec przez lata był dozorcą i ochroniarzem na stadionie Villa Park. Niestety, w roku 2018, gdy jego syn obejmował funkcję trenera, był już w bardzo zaawansowanym wieku, nie nawiązywał kontaktu z rzeczywistością. Wkrótce zresztą zmarł na COVID-19.

Pod wodzą Deana Smitha klub grał właśnie tak, jak lubię. Rzadko zdarzało się podawanie piłki w poprzek boiska i do tyłu, co stało się ulubioną taktyką zarówno naszej reprezentacji, jak i ligowych klubów. Na gwiazdę wyrósł wychowanek miejscowej szkółki Jack Grealish. Większość piłek trafiała do niego, a on zawsze wiedział co z nią zrobić.

Niestety, jeśli ktoś tak bardzo wyróżnia się w mniej zamożnym klubie, prędko sięgają po niego bogacze. Grealisha sprzedano do Manchesteru City za 100 mln funtów.

Tam wtłoczony w surowe reguły taktyczne stracił swoją boiskową bezczelność i wszechstronność, stał się regularnym lewym skrzydłowym. Teraz zazwyczaj zaczyna mecze na ławce rezerwowych. Cóż, klub z pieniędzmi Emiratów może pozwolić sobie na takie ekstrawagancje. W Aston Villi byłoby to niemożliwe.

Bask i Anglopolak

Trzymałem kciuki za Aston Villę, gdy był to typowy zespół drugiej połówki ligowej tabeli. Najsilniej, gdy po awansie o mało nie spadł znów do Championship, ale udało mu się utrzymać.

Obecnie trenerem w klubie jest Bask (mylnie nazywany przez niektórych komentatorów Hiszpanem) Unai Emery, szkoleniowiec po przejściach, który trafił do Birmingham w listopadzie 2022 r. Przez sezon wdrażał swoje pomysły, teraz już wszystko działa tak jak zaplanował. Emery słynie z tego, że do pracy przychodzi świtem, a wychodzi z niej późnym wieczorem. Pracowitości wymaga też od swoich piłkarzy. I może dlatego udało mu się stworzyć zespół, w którym jedyną gwiazdą światowego formatu jest argentyński bramkarz i mistrz świata Emiliano Martinez.

Pod okiem Baska na gwiazdę Premier League zaczyna wyrastać 28-letni napastnik Ollie Watkins. Dużo strzela, jeszcze więcej asystuje przy bramkach kolegów, ale wielką gwiazdą światowej piłki już nie zostanie. W reprezentacji swojego kraju grał przeciw San Marino, Albanii, Polsce, jedenastce Wybrzeża Kości Słoniowej. Poważniejszych zadań selekcjoner Gareth Southgate raczej mu nie przydziela, mimo że w klubowej drużynie jest wyróżniającą się postacią.

W Polsce grono kibiców Aston Villi powiększyło się, gdy Matty Cash – prawy obrońca, występujący czasem jako skrzydłowy – zadeklarował chęć występowania w naszej reprezentacji. Matka Casha jest córką polskich emigrantów i z tego powodu otrzymał on polskie obywatelstwo. Matty to bardzo dobry piłkarz, do tego sympatyczny człowiek. Na pewno jego popularność wzrosła po udziale w kilku reklamach, w których zabawnie powtarzał krótkie polskie teksty. Naszego języka na pewno już się nie nauczy. Poznał natomiast – do czego przyznał się z uśmiechem – smak polskiej wódki, którą uraczyli go koledzy na pierwszym zgrupowaniu reprezentacji. Więcej tego nie powtórzy – zadeklarował.

W naszej kadrze, do której po raz pierwszy powołał go Paulo Sousa, Cash nie zagrał oszałamiająco – ale to piłkarz, którego nieustannie trapią kontuzje. Oczywiście kibicuję Matty'emu, podobnie jak wszystkim graczom Aston Villi i mimo wszystko biało-czerwonym, choć jako dziennikarz sportowy mam obowiązek na drużynę Michała Probierza patrzeć realistycznie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor prowadzący, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 22.05.2024 r.**

eprasa.pl 4496020dae

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Dziennikarka? – Prezes Kaczyński otworzył usta ze zdziwienia. – Hawryłuk? Ukrainka? Jak ukraińska dziennikarka miałaby zostać polskim prezydentem?!

– Prezydentką – poprawnie politycznie sprostowała eurodeputowana Szydło, była premierka. – I nie Hawryłuk, tylko Gawryluk. Dorota Gawryluk, polska dziennikarka.

Prezes pokiwał głową: – Tak, tak, i pewnie Holewnia też był polskim dziennikarzem, co?

– A jakim? – zainteresował się eurodeputowany Brudziński.

Kaczyński nie raczył odpowiedzieć; albo nie usłyszał pytania, albo postanowił zignorować Brudzińskiego.

– W wyborach prezydenckich powinien wystartować ktoś, kto uczyni z Polski wielkie i silne państwo – oświadczył po chwili prezes.

– Lets mejk Połlend grejt egejn – powiedział Brudziński w obcym języku, ale z zachodniopomorskim akcentem.

Tym razem eurodeputowanego zignorowali i Kaczyński, i Szydło.

– Ktoś popularny, komu wyborcy ufają – rzekła Szydło, wypinając swoją sześćdziesięciojednoletnią pierś.

– Ja jestem za stary… – westchnął prezes.

Brudziński roześmiał się sztucznie. Gdyby nieszczerze zaprzeczył, wyszedłby na włazidupę, którym zresztą był. Dzięki podlizywaniu się był posłem, wicepremierem i ministrem, a teraz zasiada w parlamencie europejskim. Dlaczego nie miałby zostać prezydentem?

– Jaki tam stary… – powiedział Brudziński nieszczerze. Z ust skapywała mu wazelina.

– A ile lat ma ta Hawryłuk? – spytał Kaczyński.

– Pięćdziesiąt dwa – cicho odparła Szydło. Z jej ust kapał z kolei jad.

– To tyle, co Duda – ucieszył się prezes.

– Niewiele mniej niż ja – zauważył Brudziński, lat pięćdziesiąt sześć.

Kaczyński znów go zignorował. Popadł w stupor: nie odzywał się, przymknął oczy i zaczął się kiwać jak Żyd przy Ścianie Płaczu.

Nie wiedząc, co robić, Szydło też się zakołysała. To samo zrobił Brudziński, chociaż miał otwarte oczy, bo wolał kontrować sytuację.

Po pięciu minutach prezes zatrzymał się nagle, podniósł powieki, błysnął białkami oczu i wyszeptał: – Szszszszsz…

– Kto?! – zawołali razem rozkiwani eurodeputowani.

– Mateuszszszsz…

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA zastanawia się, czy premier naprawdę odleciał, czy to tylko kampania wyborcza. **JOANNA SENYSZYN** nie ma takich rozterek.

Wołk-Łaniewska: – Jak myślisz: ruska czy białoruska?

Senyszyn: – Co?

– Ja. Szpieżyca.

– Że co przepraszam?

– Sama się domagasz feminatywów, to masz. Może ewentualnie jeszcze być „szpiegini". Bo „szpieżka" brzmi jakoś niepoważnie.

– Mniejsza o formę, treść mnie niepokoi…

– A bo premier zapowiedział, że jego tajna komisja do zbadania rosyjskich i białoruskich wpływów będzie badać też „ewentualny wpływ na media". Mam przejebane.

– Zaraz, zaraz, bo to warto wyjaśnić: jesteś ruskim szpiegiem?

– Nie. Ale Macierewicz też nie, moim zdaniem, więc co ja wiem. Premier powiedział wyraźnie, że jest i że wszyscy dziennikarze to wiedzą, ale nikt „nie miał odwagi połączyć kropek". Poza – dodał premier – „niektórymi dziennikarzami, którzy na własny rachunek starali się to badać, a potem przyklejało im się łatki nieodpowiedzialnych albo szalonych". A ja nadal uważam, że jak premier rządu zbiorowo zarzuca w sejmie opozycji zdradę ojczyzny i to za pieniądze, to zasługuje na miano nieodpowiedzialnego. Delikatnie mówiąc.

– Pamiętasz rok 2014? Też były wybory do Parlamentu Europejskiego i Tusk też był premierem. Wygłosił wtedy taki monolog, że „te wybory europejskie są o tym, czy w Polsce dzieci 1 września w ogóle pójdą do szkoły"… I notowania PO poszły w górę, bo groźba wojny konsoliduje społeczeństwo wokół partii rządzącej. Obojętnie, jaka to partia.

– Niby prawda, ale – znów – jest to strategia cokolwiek nieodpowiedzialna. Kiedy szef rządu o 23.23 pisze na platformie X, że PiS jest jak Rosja i „otwórz oczy"…

– O wpół do dwunastej w nocy? To chyba już pora zamknąć oczy i spać. Takie twitty to rano trzeba umieszczać, żeby społeczeństwo wstawało i ruszało do pracy. A na TikToka mógłby wrzucić filmik, jak śpiewa „Hej junacy, hej chłopcy, dziewczęta, do roboty, do roboty"…

– „Za młoty, hej, ojczyzny wolne dzieci, dzielne dzieci, do roboty, serca w górę, myślą świecić".

– O, to, to. Myślą świecić.

– Tusk to już może raczej niech nie świeci, co? Po tym, jak postanowił wydać 10 miliardów na swoją własną Linię Maginota…

– Jak swoją własną, to Linię Tuska, ale ponoć 10 miliardów nie wystarczy.

– Czyja by nie była i jak droga, to odlot jest. I przelot.

– Jaki przelot?

– Górą. Pomysł budowania okopów i zasieków w epoce dronów i rakiet dalekiego zasięgu zdaje mi się cokolwiek dziwaczny… Zmieńmy temat, bo się pogrążam jeszcze głębiej.

– Możemy pogadać o katechetach. To zawsze ekscytujący temat.

– A katecheci co?

– Protestują, bo boją się utraty pracy, jak Nowacka ograniczy religię w szkołach.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

– I ani trochę ci ich nie żal?

– Niby dlaczego?

– No, że mogą stracić pracę.

– Ty masz złe podejście. Mieli dobrze, a teraz protestują, zamiast mieć refleksję, że przez 32 lata za nasze pieniądze wciskali uczniom bzdety sprzeczne z nauką. W dodatku ich praca okazała się całkowicie bezużyteczna, jeśli nie liczyć tego, że wielu młodych zniechęciła do Kościoła i wiary. Społeczeństwo nie zrobiło się bardziej miłujące bliźniego swego. Wręcz przeciwnie. Hejt leje się drzwiami i oknami, ponad pół miliona dzieci cierpi na zaburzenia psychiczne, a dużo więcej potrzebuje wsparcia psychologa. Na szczęście rodzice są mądrzejsi od Nowackiej i wielu całkiem zlikwiduje katechezę dla swoich dzieci, a nie tylko zmniejszy o połowę.

– Mam jednak moralną wątpliwość, czy człowiek lewicy może być za tym, żeby 20 tysięcy ludzi na bruk…

– Bez przesady z brukiem i z taką ogromną liczbą. Przynajmniej 10 tysięcy to kler, którego bieda nie pobodzie. Zresztą, jak się ogranicza utrzymanie klasy próżniaczej, to jest korzyść dla klasy pracującej.

– No, ale trzeba by im dać czas na przekwalifikowanie. I środki jakieś…

– Niech im Kościół daje.

– Powinien. Ale nie da.

– To niech mają pretensje do Kościoła, a nie do państwa. A poza tym, na co twoim zdaniem mieliby się przekwalifikować?

– A bo ja wiem? Na etyków?

– I co, chciałabyś, żeby klechy uczyły etyki? Jeden z drugim by nauczał, za idolem Episkopatu, Michalikiem, że „kiedy dziecko szuka miłości, ono lgnie, ono szuka, i zagubi się samo, i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga". Daj spokój. Do tej pory było wiadomo, że uczniom robią religiancką wodę z mózgu, a teraz mają im podprogowo ciemnotę wciskać i udawać, że to nauka? Nie z moich podatków. Choć ten postulat akurat może być trudny do zrealizowania.

– Dlaczego niby?

– Ministerialna komisja pod wodzą Kosiniaka-Kamysza planuje zastąpienie Funduszu Kościelnego odpisem podatkowym. Według skromnych szacunków da to Kościołowi trzy albo cztery razy więcej kasy niż dostają teraz.

– Będziesz płacić odpis na Kościół?

– Ja nie, ale ci co będą płacić, będą to robić z budżetu państwa, a nie z własnego. Niech z tych pieniędzy czarni płacą katechetom. I niech przestaną wynajmować salki katechetyczne, które teraz mogą wrócić do pierwotnych funkcji…

– Ciemnych pomieszczeń w suterenach, gdzie ksiądz może obmacywać dzieci, nie zwracając niczyjej uwagi? Tak przynajmniej było w mojej salce katechetycznej przy kościele na górce na Żoliborzu.

– Byłaś macana?

– Ja nie, ale ja tam chodziłam tylko przez chwilę i to wtedy, kiedy księdza Nassalskiego już z Żoliborza zabrali, bo żoliborscy rodzice jednak zrobili pewien szum. Ale reżyser Andrzej Saramonowicz napisał swego czasu w „Przekroju", że ulubioną przez księdza Olgierda formą prowadzenia lekcji było puszczanie slajdów z życia Świętej Rodziny, bo wtedy mógł zgasić światło, przysiąść się do pierwszego z brzegu dzieciaka i wsadzić mu rękę w majtki. Toteż młodzież bardzo się starała, żeby przyjść jak najwcześniej i usiąść od ściany, a ksiądz się cieszył, że nikt się do niego nie spóźnia.

– No dobra, to może nie najlepszy przykład użycia salki katechetycznej. Ale z drugiej strony: myślisz, że w szkole nie da się macać uczniów?

– Myślę, że trudniej.

– A ja myślę, że teraz jest generalnie trudniej, bo ludziom otworzyły się oczy na pedofilskie przestępstwa kleru.

– Widzisz? Świat jednak zmierza ku lepszemu.

senyszyn@wp.pl,
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 299

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 4496020dae